
L. ANDREJEW
№ 994
Siedem szubienic
Warszawa
Jan Fiszer
NOWODWORSKI

LEONIDAS ANDREJEW

SIEDEM SZUBIENIC

(OPOWIADANIE)

WARSZAWA
Nakładem JANA FISZERA, Nowy Swiat 9
1909

Drukarnia i Litografja Jana Cotty w Warszawie, Kapucyńska 7.

1. O pierwszej, ekscelencjo!

Ponieważ pan minister był człowiekiem otyłym z wyraźną skłonnością do apopleksji, przeto z nadzwyczajnemi ostrożnościami, unikając wszystkiego, co mogłoby wywołać, niebezpieczne przy jego kompleksji, wzruszenie, doniesiono mu o mającym się odbyć zamachu na jego życie. Widząc, że minister przyjmuje tę wiadomość spokojnie, a nawet z pewnym uśmiechem, dodano i szczegóły: otóż zamach ma być wykonanym następnego dnia rano, kiedy minister pojedzie z raportem; kilku terrorystów z przygotowanemi bombami i rewolwerami ma się zebrać przed bramą jego domu o pierwszej w południe i czekać jego wyjścia. Ponieważ prowokator zdradził ich i wszyscy znajdują się pod nieustannym tajnym dozorem policyjnym, przeto wszystkich też w danej chwili wyłapią.

— Poczekajcie, — zdziwił się minister: — powiedzcie mi, skąd oni wiedzą, że o pierwszej pojadę z raportem, skoro ja sam dowiedziałem się o tem dopiero przedwczoraj?

Naczelnik ochrony z wyrazem nieświadomości rozłożył ręce:

— A jednak o pierwszej, wasza ekscelencjo.

Trochę podziwiając a trochę zgadzając się z ewentualną działalnością policji, która tak szybko zapobiegła wszystkiemu, minister pokiwał głową i uśmiechnął się chmurnie swemi ciemnemi, grubemi wargami; z tym samym uśmiechem, pokornie, jakby nie chcąc przeszkadzać policji w jej dalszych rozporządzeniach, usunął się niby na plan drugi i z nagłem postanowieniem pojechał na noc do cudzego gościnnego pałacu. W ten sam sposób wyjechała z niebezpiecznego domu, przy którym jutro zbiorą się ci, co umieją tylko rzucać bomby, żona ministra i jego dwoje dzieci.

Dopóki w obcym pałacu gorzały światła, dopóki widział wkoło siebie znajome, sympatyczne twarze, które z nim razem oburzały się na czasy i na ludzi, dygnitarz odczuwał tylko rodzaj miłego podniecenia, jakgdyby mu już ofiarowano lub za chwilę ofiarować miano jakąś wiadomą, choć nieoczekiwaną nagrodę. Ludzie jednak porozjeżdżali się do domów, światła pogasły i tylko przez lustrzane szyby okien skradało się do ścian i sufitu delikatne, fantastyczne światło latarni elektrycznych; dziwnie obce w tym pięknym domu z jego posągami i obrazami, z panującą w nim ciszą, blade i nieokreślone to światło, przychodzące tutaj wprost z ulicy, mimowolnie budziło lękliwe myśli o znikomości i nietrwałości wszelkich rygłów, ścian i ochrony.

I teraz podczas tej jasnej nocy, w ciszy obcej sypialni, dygnitarz poczuł, że ogarnia go lęk nie do zniesienia.

Jego ekscelencja miał chore nerki, które przy każdem podnieceniu przepełniały się wodą, powodując puchnięcie twarzy i rąk, to zaś budziło w nim niemiłe uczucie, że staje się jeszcze grubszym, większym i masywniejszym. I teraz, leżąc na tem obcem łóżku, niby jakaś olbrzymia góra mięsa, czuł z wrażliwością chorego człowieka tę twarz swoją opuchniętą, jakby obcą, i nie mógł się pozbyć dręczącej myśli o strasznym losie, jaki mu przygotowywali ludzie. Mimowoli stawały mu przed oczyma wszystkie wypadki, w których na ludzi jego stopnia, a nawet stojących jeszcze wyżej w hierarchji społecznej, rzucano bomby, a te bomby rozszarpywały na kawałki ciało, rozrzucały mózg na brudne cegły ścian domów, wyrywały zęby, które znajdowano potem na ulicy. Wszystkie te wspomnienia działały na niego w ten sposób, że to grube, chore, własne jego ciało wydawało mu się i dalekiem i obcem i doświadczającem siły wybuchu; wydawało mu się, że ręce oddzielają mu się od tułowia, zęby wypadają, mózg rozpada się na cząsteczki, a nogi tężeją i leżą ciężkie, nieruchome z palcami, zwróconymi do góry, jak u trupa.

Nie chciał tych wrażeń. Poruszał się nieustannie, oddychał głośno, chrząkał niepotrzebnie, aby tylko nie być podobnym do trupa, otaczał się żywym szmerem naciskanych sprężyn, szeleszczącego prześcieradła; i chcąc ostatecznie dowieść, że żyje, że wcale nie umarł, że jest równie dalekim od śmierci jak każdy z innych ludzi, głośno i ostro mruczał basem w ciszy tej obcej sypialni:

— Zuchy! Zuchy! Zuchy!

Miało się to odnosić do ajentów, do policji, do żołnierzy, do wszystkich tych, jednem słowem, którzy ochraniają jego życie, którzy tak w porę i tak sprytnie uprzedzili zbrodnię. A jednak, nawet ruszając się na posłaniu, nawet chwaląc, nawet wykrzywiając usta do litosnego uśmiechu dla owych głupich terrorystów, nieszczęśników, — dygnitarz nie wierzył jeszcze w ocalenie, nie wierzył, że życie nie zniknie nagle, nie odejdzie od niego niespodzianie. Śmierć, którą obmyślili dla niego ludzie, która istniała tylko w ich zamiarach i pragnieniach, śmierć ta zdawała się czaić tutaj i nie odejdzie, dopóki nie złapią tamtych, nie odbiorą im bomb i nie wsadzą ich do więzienia za mocne kraty. Oto tam w kącie stoi ta śmierć straszna i nie odchodzi i odejść nie może, jak żołnierz, czyjąś wolą na czyjś rozkaz postawiony na straży.

— O pierwszej, wasza ekscelencjo! — dźwięczał wypowiedziany frazes i powtarzał się w tysiącu odcieni: to wesoło-szyderczy, to gniewny, to znów uparty lub bezmyślny. Zdawało się, że do sypialni wstawiono setkę gramofonów, a wszystkie z identyczną, maszynową dokładnością powtarzały narzucone im wyrazy:

— O pierwszej, wasza ekscelencjo.

I ta jutrzejsza „pierwsza“, która przed chwilą niczem nie odróżniała się od szeregu innych godzin, która była tylko zwyczajnem posunięciem się wskazówki na cyferblacie złoconego zegara, nagle zdobyła dziwną jakąś wyrazistość, wyrwała się z cyferblatu, za-

częła żyć własnem swojem życiem, wyciągnęła się niby olbrzymi czarny słup, rozgraniczający życie na dwie połowy. Tak zupełnie jakby ani przed nią, ani za nią nie istniały żadne inne godziny, a tylko ona jedna, śmiała i samoistna, miała prawo do jakiegoś specjalnego istnienia.

— A więc, czego chcesz odemnie? — zapytał minister przez zęby.

A gramofony krzyczały i zawodziły:

— O pierwszej, wasza ekscelencjo! — i czarny słup wykrzywiał się i kłaniał. Zgrzytnąwszy zębami, minister podniósł się z łóżka i usiadł, podparłszy twarz dłonią — stanowczo nie zaśnie już chyba tej strasznej nocy.

I nagle, zacisnąwszy oczy wyperfumowanymi palcami, ze straszliwą wyrazistością ujrzał siebie, jak wstałby rano, nie wiedząc o niczem, i kawę by wypił, o niczem nie wiedząc, i najspokojniej ubierałby się w przedpokoju. I ani on, ani szwajcar, który mu podawał futro, ani lokaj, który mu przyniósł kawę, nie wiedzieliby, że niema sensu ani nakładanie futra ani picie kawy, skoro za kilka minut i futro i ciało jego i kawa, która w niem tkwi, wszystko to zostanie zniweczone przez wybuch, zniszczone przez śmierć. Oto szwajcar otwiera przed nim drzwi oszklone... ten dobry, miły szwajcar z wiernemi niebieskiemi oczami i piersią pełną orderów, sam otwiera te drzwi straszliwe i otwiera je tylko dlatego, że nic nie wie. Wszyscy się uśmiechają, bo wszyscy nic nie wiedzą.

— Oho! — rzekł nagle głośno i powoli odjął ręce od twarzy. Potem, patrząc przed siebie w daleką ciemność, nieruchomym, natężonym wzrokiem wolniutko namacał kurek i zapalił światło. A potem jeszcze boso bez pantofli obszedł dokoła po dywanie tę obcą dla siebie sypialnię, znalazł drugi kurek i zapalił boczną lampę przy ścianie. Zrobiło się widno i przyjemnie i tylko zmięte posłanie i zrzucona do połowy na ziemię kołdra mówiły o jakimś strachu, który gdzieś jeszcze kryje się może.

W nocnej bieliźnie, z potarganą od niespokojnych poruszeń brodą, z gniewnym wzrokiem dygnitarz podobnym był do każdego rozgniewanego starca, trapionego przez bezsenność i astmę.

Zdawało się, że ta śmierć, którą ludzie przygotowali dla niego, otoczyła go niewidzialną ścianą, odosobniła go, wyrwała z tego przepychu, z tej pompy zewnętrznej, którymi był otoczony — i trudno było nawet uwierzyć, że to właśnie on ma tyle władzy, że to jego ciało, takie proste, zwyczajne ludzkie ciało, miało zginąć wśród ognia i huku potwornego wybuchu. Bez ubrania, nie czując nawet zimna, usiadł na pierwszem lepszem krześle i, oparłszy starganą brodę na ręku, dziwnie skupiony, w cichem, spokojnem zamyśleniu utkwił oczy w nieznany, rzeźbiony sufit.

— Aha, więc to o to chodziło! Więc dla tego tak się lękał i niepokoił! Dlatego ona stoi tam w kącie i nie odchodzi, nie może odejść!

— Osły! — rzekł z pogardliwą wyrazistością.

— Osły! — powtórzył głośniej, zwracając głowę ku drzwiom, aby mogli usłyszeć ci, do których ten epitet był zwróconym. A zwróconym był do tych samych ludzi, których przed chwilą nazywał zuchami, a którzy przez zbytek gorliwości opowiedzieli mu o przygotowanym na niego zamachu.

— Rzecz prosta, — myślał nagle pogłębioną, silną myślą, — przecież dopiero teraz, kiedy mi powiedzieli, wiem i boję się, a tak nie wiedziałbym nic i najspokojniej piłbym kawę. A potem ta śmierć — lecz czyż ja się boję śmierci? Oto nerki mnie bolą i wiem, że kiedyś umrę, a nie boję się, bo nie wiem. A ci głupcy powiedzieli: o pierwszej, wasza ekscelencjo. Idjoci, myśleli, że mnie ucieszą, a zamiast tego ona stanęła w kącie i nie odchodzi. Nie odchodzi, bo to własna myśl moja. Nie śmierć jest straszną, a świadomość o niej: życie stałoby się niepodobieństwem, gdyby człowiek wiedział dokładnie dzień i godzinę, w której ma umrzeć, a ci nędzni uprzedzają jeszcze: o pierwszej, wasza ekscelencjo!

Zrobiło mu się tak lekko i przyjemnie, jakby mu ktoś powiedział, że jest nieśmiertelnym, że nie umrze nigdy. I poczuwszy się nagle silnym i rozumnym wśród tego stada głupców, którzy tak śmiało i bezczelnie wdzierają się w tajemnice przeznaczenia, zamyślił się o szczęściu nieświadomości ciężką myślą chorego starca, który wiele już doświadczył w życiu. Chwila śmierci jest tajemnicą życia, żadna też żyjąca istota nie wie dnia ani godziny swojej śmierci. Oto niedawno był chorym i lekarze powiedzieli mu, że mu-

si umrzeć, że trzeba zostawić rozporządzenia, a on nie uwierzył i żyje. Oto niegdyś, w młodości, zawikłał się tak bardzo, że postanowił odebrać sobie życie, i rewolwer już przygotował i listy napisał i nawet godzinę samobójstwa wyznaczył, a potem w ostatniej chwili rozmyślił się i żyje. Zawsze, w najstraszniejszym nawet momencie, może zajść jakaś niespodziewana okoliczność, jakaś zmiana nagła, która wszystko odwróci i dlatego nikt z ludzi nie może powiedzieć, kiedy umrze.

— „O pierwszej, wasza ekscelencjo“ — powiedzieli mu uprzejmi głupcy, a chociaż powiedzieli tylko dlatego, że tej śmierci zagrodzili drogę, jednak sama świadomość jej godziny napełniła go przerażeniem. Bardzo być może, że go nawet kiedyś zabiją, ale nie jutro, nie jutro — może więc spać spokojnie, jak ten, co zdobył nieśmiertelność. Głupcy! i jeszcze raz głupcy! Oni nie rozumieli nawet, jak wielkie prawo pogwałcili, jaką bezdenną przepaść otworzyli, kiedy z tą swoją idjotyczną grzecznością powiedzieli mu: — o pierwszej, wasza ekscelencjo.

— Otóż nie, nie o pierwszej, a niewiadomo kiedy. Niewiadomo. I cóż?

— Nie, — odpowiedziała cisza, — nie.

— Co, wszak mówisz coś.

— Nie, drobiazg. Mówię: jutro o pierwszej, wasza ekscelencjo.

I nagle poczuł ostry ból w sercu i zrozumiał, że nie zazna ani snu, ani spokoju, ani wesela, dopóki nie minie ta straszna, czarna godzina, wyszarpnięta

dla niego z zegarowej tarczy czasu. A jednak cień świadomości tego, o czem nie powinna wiedzieć żadna żyjąca istota, stał tam w kącie i ta obecność jego wystarczała, aby przyćmić światło, aby narzucić na duszę nieprzenikniony mrok strachu. Zbudzona szorstka obawa śmierci rozchodziła się po całem ciele, wgryzała w kości i podnosiła blade swoje oblicze ze wszystkich porów.

W tej chwili bał się już nie jutrzejszych zabójców. Zapomniał o nich, zniknęli narazie w tłumie wrogich twarzy i zjawisk, tak częstych w życiu człowieka, on bał się czegoś niespodziewanego, a nieuniknionego, jakiegoś ataku apoplektycznego, jakiegoś pęknięcia serca, jakiejś marnej, cieniutkiej aorty, która nie wytrzyma nagle nacisku krwi i pęknie, jak zbyt naciągnięta rękawiczka na pulchnej ręce. I strasznym wydawał mu się jego krótki i gruby kark i nie mógł patrzeć na krótkie, rozdęte palce, nie mógł znieść poczucia ich krótkości i pełności.

I kiedy przedtem, w ciemności, musiał się ruszać aby nie być podobnym do trupa, to teraz w tem jasnem, chłodnem i wrogiem świetle nie śmiał drgnąć nawet, nie śmiał sięgnąć po papierosa, lub zadzwonić na kogośkolwiek. Nerwy jego znajdowały się w straszliwem naprężeniu, a każdy z nich podobnym był do wyprostowanego drutu, na którego czubku znajdowała się maleńka główka z wytrzeszczonemi od szalonego przerażenia oczami, z wykrzywionemi konwulsyjnie, niememi, otwartemi ustami. Tchu mu brakowało.

Nagle gdzieś wysoko u sufitu wśród kurzu i pajęczyn zabrzmiał życiem dzwonek elektryczny. Maleńkie metalowe serduszko drgało i biło o brzeg tarczy, przestawało i znowu drgało w nieustannem przerażeniu i hałasie.

To jego ekscelencja dzwonił w swoim pokoju.

Wszczął się ruch. Tu i tam w kandelabrach zabłysły oddzielne lampki, nie wystarczające do oświetlenia, lecz mające siłę tworzenia cieni. I oto pojawiły się wszędzie: stanęły w kątach, wyciągnęły się po suficie, chwytały trwożnie za każdą wypukłość, lgnęły do ścian nawet; trudno nawet zrozumieć, gdzie kryły się dotychczas te niezliczone, potworne cienie, milczące dusze milczących rzeczy.

Jakiś gruby, drżący głos mówił coś głośno, potem przez telefon wezwano doktora; dygnitarz zachorował. Sprowadzono żonę jego ekscelencji.

2. Na śmierć przez powieszenie.

Stało się tak, jak przewidywała policja. Czworo terrorystów, trzech mężczyzn i jedną kobietę, uzbrojonych w bomby, maszyny piekielne i rewolwery, schwytano przy samych drzwiach przedsionka, piątą kobietę aresztowali we wspólnem konspiratorskiem mieszkaniu, którego była gospodynią. Podczas rewizji znaleziono tutaj sporą ilość dynamitu, kilka nawpół wykończonych bomb i rewolwery. Wszyscy aresztowani byli jeszcze bardzo młodzi: najstarszy z mężczyzn miał lat zaledwie dwadzieścia osiem, młodsza z kobiet — dziewiętnaście.

Sądzono ich w fortecy, dokąd przewieziono natychmiast po aresztowaniu, a sądzono prędko i cicho tak, jak się to praktykowało w owych smutnych czasach.

Podczas sprawy wszyscy pięcioro byli spokojni lecz poważni i zamyśleni; dla sędziów mieli pogardliwą litość, tak głęboką, że żadnemu z nich nie chciało się ani uśmiechem, ani sztucznym wyrazem swobody podkreślać dla nich śmiałości swojej. I spokój ten nie był przesadzonym; mieli go w sobie tyle tylko, ile potrzeba dumnej duszy ludzkiej dla osłonięcia jej

przedśmiertnych zmagań mrocznych przed złem i wrogiem spojrzeniem cudzych oczu. Niekiedy odmawiali odpowiedzi, niekiedy odpowiadali krótko, zwięźle i jasno, jakby przed sobą mieli nie sędziów, lecz statystów, którym potrzebne były ich dane dla zapełnienia jakichś tablic. Troje z nich, dwóch mężczyzn i jedna kobieta, podali prawdziwe nazwiska swoje, dwoje osłoniło się pseudonimami i pozostali tak dla sędziów nieznani i niewiadomi. Na wszystko, co się wkoło nich działo, patrzyli z tą lekką, obojętną ciekawością, właściwą ludziom bardzo ciężko chorym, lub zajętym jedną pochłaniającą myślą. Chwilami patrzyli na sędziów, chwytali w locie jakieś słówko, które wydało im się bardziej zajmującem, i znowu zapadali w zamyślenie od tego samego punktu, na którym się zatrzymali.

Pierwszy z brzega, od strony sędziów, siedział Sergjusz Gołowin, syn dymisjonowanego pułkownika i sam były oficer. Bardzo jeszcze młody, barczysty, jasnowłosy, przedstawiał okaz zdrowia, gdyż ani więzienie, ani pewność czekającej go, nieuniknionej śmierci nie były w stanie zetrzeć rumieńca z jego młodej twarzy, ani młodzieńczej, naiwnej szczerości z jego niebieskich oczu. Przez cały czas prawie skubał swoją jasną bródkę, do której nie miał się jeszcze czasu przyzwyczaić, i, mrużąc oczy, patrzył nieustannie na okno.

Było to przy końcu zimy, kiedy wśród burz śnieżnych i ponurych dni mrozu przylatywać poczęli gońce zbliżającej się wiosny, upragnieni gońce w po-

staci jasnych, ciepłych, słonecznych dni a nawet godzin, tak jasnych, tak wiosennych, tak gorąco młodych, że wróble na ulicach szalały z radości, a ludzie upajali się nimi. I teraz też przez górną część okna, zakurzoną i niemytą od roku, widać było niezwykle piękny kawałek nieba; na pierwszy rzut oka niebo to wydawało się mleczno-szarem, jakby delikatnie przymglonem, przy dłuższem jednak wpatrywaniu się przez tę przyćmioną białość zaczynał przebijać łagodny odcień szafiru, coraz wyraźniejszy, coraz potężniej nieskończony. I czar ten nie występował odrazu, a dziewiczo ukrywał się w tej przezroczo-mglistej osłonie i przez to stawał się tak miłym i upragnionym, jak spojrzenie ukochanej kobiety.

Sergjusz Gołowin patrzył na to niebo, skubał bródkę, mrużył to jedno, to drugie oko o długich, puszystych rzęsach i coś z natężeniem kalkulował; raz nawet prędko poruszył palcami i wstrząsnął się radośnie, lecz nagle spojrzał wkoło i radość jego zgasła jak iskra, zdeptana brutalnie nogą. Lecz poczucie życia i wiosny silniejszem w nim było nad ten pomrok chwilowy i znowu młoda, naiwna twarz zwracała się ku niebu.

W tę samą stronę, na to samo niebo patrzyła również blada dziewczyna, nieznana, ukrywająca się pod imieniem Musi. Młodszą była od Gołowina, lecz wydawała się starszą, taki wyraz powagi miała w twarzy i taką szczerą, prostą, uczciwą surowość w swych czarnych oczach. Delikatna jednak i cienka szyja i delikatne również, dziewiczo wysmukłe ręce wskazywały

jej wiek młodzieńczy. A przytem grał w niej ten urok niepochwytny, to coś, co się nazywa młodością, a co tak wyraźnie brzmiało w dźwięku jej głosu czystego, zharmonizowanego w każdem słowie, w każdym okrzyku, nastrojonego bez zarzutu, niby kosztowny, delikatny instrument. Dziewczyna była blada, lecz nie zimną bladością trupa, nie, była to raczej jakaś biel gorąca, jakby w jej wnętrzu gorzał jakiś tajemniczy płomień, od którego nawpół przezroczyste ciało przeświecało białością cienkiej sewrskiej porcelany. Siedziała nieruchomo, tylko niekiedy zaledwie dostrzegalnym ruchem palców wygładzała maleńkie wgłębienie na środkowym palcu prawej ręki, ślad po niedawno zdjętym pierścionku. Na niebo patrzyła wzrokiem bez pieszczoty, bez miłych wspomnień, dlatego tylko, że w całej tej brudnej urzędowej sali ten maleńki skrawek szafirowego nieba był jedynie pięknym, czystym, prawidłowym i o nic nie wypytywał jej oczu.

Sędziowie dla Gołowina mieli litość, dla niej — nienawiść.

Obok niej, również nieruchomo w cokolwiek sztywnej pozie, złożywszy ręce między kolanami, siedział jej sąsiad, również nieznany, pod przybranem nazwiskiem Wernera. Jeżeli można zamknąć twarz tak jak się drzwi zamyka, to ten człowiek zamknął oblicze swoje na drzwi żelazne i nałożył na nie żelazny zamek. Patrzył on nieruchomo w dół, na brudne deski podłogi, i z kamiennych tych rysów nic wyczytać nie było można, ani spokoju lub wzruszenia, ani czy myślał o czemś, lub słuchał obciążających zeznań ajen-

tów. Wzrost miał niewielki i twarz o rysach delikatnych i szlachetnych. Urodą przypominał południową noc księżycową na brzegu morza, gdzie stoją smutne cyprysy i długie od nich padają cienie, a jednocześnie budził w patrzących poczucie olbrzymiej, spokojnej siły, niezwalczonej stałości i chłodnego, hardego męstwa. Nawet grzeczność, z jaką odpowiadał na pytania, wydawała się w jego ustach, w jego półukłonie, jakiemś niebezpieczeństwem; jeżeli na towarzyszach jego kaftan aresztanta wydawał się jakiemś idjotycznem błazeństwem, to na nim znikał zupełnie, tak obcą była ta suknia w stosunku do człowieka. Pomimo też, że przy innych podsądnych znaleziono i bomby i maszyny piekielne, a przy nim tylko jeden czarny rewolwer, sędziowie dla jakichś przyczyn uważali go za głównego prowodyra i zwracali się do niego z pewnym rodzajem szacunku, krótko i po męsku.

Siedzący za nim Wasyl Kaszyrin był uosobieniem jednej, ciągłej, pochłaniającej obawy śmierci i rozpaczliwych wysiłków, aby tę obawę powstrzymać i nie pokazać jej sędziom. Od rana, zaledwie wprowadzono ich do sali sądowej, serce biło mu tak silnie, że aż zapierało oddech; na czole perliły się krople potu, ręce miał również spocone i lgnęła do ciała chłodna, lepka, przepocona koszula. Nadzwyczajnym wysiłkiem woli zmuszał swe palce, aby nie drżały, głos, aby był równym i wyraźnym, oczy, aby patrzyły spokojnie. Wkoło siebie nie widział nic i nikogo, głosy dochodziły go jakby z oddali, z za mgły jakiejś, i w tę mgłę rzucał te swoje rozpaczliwe wysiłki odpo-

wiadania jasno, wyraźnie i głośno. Odpowiedziawszy jednak, zapomniał natychmiast i pytanie i odpowiedź swoją i znowu rozpoczynał niemą walkę. A śmierć tak wyraźnie wiała od niego, że sędziowie unikali spojrzeń w jego stronę. Trudno było określić jego lata, tak jak trudno jest określić wiek gnijącego już trupa. Podług paszportu miał dopiero dwadzieścia trzy lata. Raz czy dwa Werner dotykał leciutko ręką jego kolana; za każdym razem otrzymywał jedną i tę samą odpowiedź:

— To nic.

Najstraszniejszemi jednak dla niego chwilami były te właśnie, w których zjawiała się nagła, niezwalczona, straszna potrzeba krzyku. Krzyk ten bez słów, rozpaczliwy, żywiołowy wydzierał mu się z piersi i zdawało się, że nie starczy mu siły, aby powstrzymać ten głos hańbiący. Wtedy dotykał się lekko kolana Wernera, a ten, nie podnosząc oczu, odpowiadał cicho:

— To nic, Wasiu, zaraz się skończy.

Obejmując te cztery głowy kochającem, macierzyńskiem spojrzeniem, w trwożnem udręczeniu siedziała piąta oskarżona, Tania Kowalczuk. Była jeszcze bardzo młoda, tak samo różowa jak Gołowin, dzieci nie miała nigdy, a jednak wydawała się matką tych czworga, tyle było troski, tyle miłości w jej spojrzeniach, obawach i uśmiechach. Na sąd nie zwracała najmniejszej uwagi, dla niej były to rzeczy postronne, obojętne, słuchała tylko, jak odpowiadali tamci, czy

głos im nie drży, czy się nie boją, czy nie trzeba podać im wody.

Na Wasię nie mogła patrzeć z żalu i mimowoli załamywała swoje pulchne ręce; Musia i Werner napełniali ją dumą i szacunkiem i, patrząc na nich, przybierała poważny, skupiony wyraz, do Sergjusza Gołowina uśmiechała się serdecznie.

— Biedaczek, na niebo sobie patrzy. Patrz, patrz, kochanie, — myślała o nim.

A Wasia?... Mój Boże, mój Boże... co ja mam począć? Czy powiedzieć mu co? — Może mu gorzej będzie, a nuż zapłacze?

Jak w cichym stawie o świtaniu odbija się każdy biegnący obłok nieba, tak na jej miłej, dobrej twarzy odbijały się wszystkie myśli, wszystkie uczucia tych czworga.

O tem, że i ona będzie skazana, że powieszą ją również, nie myślała wcale — dla niej kwestja ta była zupełnie obojętna. Nie pamiętała wcale, że to w jej mieszkaniu odnaleziono skład bomb i dynamitu i że to ona właśnie, choć dziwnem to było, strzelała do wchodzącej policji i zraniła jednego z ajentów w głowę.

Posiedzenie sądu skończyło się o ósmej, kiedy na dworze ściemniało już zupełnie. Oczy Musi i Sergjusza patrzyły na gasnące niebo, które nie zaróżowiło się jednak, nie uśmiechnęło słonecznym uśmiechem letniego wieczoru, lecz poszarzało jakby i stało się zimnem, mętnem i surowem. Gołowin westchnął, przeciągnął się i spojrzał znowu, lecz za oknem stała już ponura ciemność nocy; wtedy, skubiąc nieustannie

swoją bródkę, z dziecinną jakąś ciekawością zaczął się przyglądać sędziom i żołnierzom pod bronią i uśmiechnął się do Tani Kowalczuk. Kiedy niebo zgasło już zupełnie, Musia, nie spuszczając wzroku, przeniosła go w kąt sali, gdzie drżała zaledwie widoczna pajęczynka od delikatnego powiewu kaloryferów, i z tym wzrokiem, utkwionym w kąt sali, pozostała tak aż do przeczytania wyroku.

Po wysłuchaniu wyroku podsądni pożegnali się z obrońcami, unikając ich smutnych, żałośnie bezsilnych spojrzeń. We drzwiach spotkali się na chwilę i zamienili ze sobą kilka krótkich zdań.

— To nic, Wasiu, wszystko się już prędko skończy, — rzekł Werner.

— Kiedy ja nic, bracie — odrzekł głośno, spokojnie, a nawet z pewnym odcieniem wesołości Kaszyrin. Rzeczywiście, twarz jego poróżowiała i nie była już podobną do twarzy gnijącego trupa.

— A niech ich djabli wezmą, musieli powiesić — zawołał z dziecinnym gniewem Gołowin.

— Mogliśmy się przecież tego spodziewać, — odrzekł poważnie Werner.

— Jutro przeczytają nam ostateczny wyrok i posadzą razem. Do samej kaźni będziemy już razem siedzieć, — rzekła Tania Kowalczuk pocieszająco. Musia jednak milczała, poczem energicznie poszła naprzód.

3. Mnie nie należy wieszać!

Na dwa tygodnie przed aresztowaniem terrorystów tenże sam sąd wojskowo-okręgowy, w innym tylko składzie sędziów, rozpatrywał sprawę włościanina Jana Jansona i skazał go na śmierć przez powieszenie.

Ów Jan Janson był parobkiem u pewnego dość zamożnego farmera i nie wyróżniał się niczem od przeciętnego typu najmity. Urodził się w Estonji, w Wazenbergu, lecz, najmując się z jednej farmy na drugą, w przeciągu kilku lat przysunął się do samej stolicy prawie. Po rosyjsku mówił bardzo źle i mało, ponieważ zaś gospodarzem jego był rosjanin, nazwiskiem Łazarew, a estonów w okolicy nie było, przeto Janson milczał przez całe dwa lata swojej służby. Z natury nie był widocznie gadatliwym i milczał nietylko z ludźmi, nie rozmawiał również i ze zwierzętami: w milczeniu poił konia, w milczeniu go zaprzęgał, kręcąc się wkoło niego drobnymi, niepewnymi kroczkami, a kiedy koń, zniecierpliwiony tą ciszą, zaczynał wierzgać i kaprysić, bił go w milczeniu batem. A bił zwykle okrutnie, z jakąś chłodną i złą zawziętością, w chwilach zaś upicia się dochodził

nawet do zwierzęcego okrucieństwa. Wtedy nawet do pokojów domu dochodził odgłos uderzeń bata i trwożliwy, drobny, pełen bólu stuk kopyt o drewnianą podłogę stajni. Za to, że parobek bił konia, gospodarz bił parobka, ale że to do żadnego nie doprowadziło rezultatu, zostawił go więc w spokoju.

Raz lub dwa na miesiąc Janson upijał się nałogowo. Zdarzało się to zwykle wtedy, kiedy odwoził gospodarza na stację kolejową, gdzie znajdował się bufet.

Wysadziwszy gospodarza, zawracał zwykle; o jakieś pół wiorsty od stacji skręcał w pole na śnieg najgłębszy i tam czekał odejścia pociągu. Sanki stały zwykle bokiem, nawpół wywrócone, koń z rozstawionemi nogami po brzuch tonął w zaspie, od czasu do czasu opuszczając głowę i liżąc miękki, puszysty śnieżek. Janson zaś, napoły leżąc w niewygodnej pozie, zdawał się drzemać. Klapy od wytartej futrzanej czapki spadały mu z boków, niby uszy wyżła, a z małego czerwonego noska sączyła się wilgoć. Potem Janson wracał na stację, pił na potęgę i upijał się prędko.

Z powrotem do domu całe dziesięć wiorst pędził, co koń wyskoczy. Zbity, przerażony konik pędził jak oparzony, galopując i ponosząc co chwila, sanie niekute skakały i przesuwały się z jednej strony drogi na drugą, grożąc co chwila rozbiciem się o słup przydrożny, a Janson, wypuściwszy z rąk lejce, wylatując nieledwie z sanek, nawpół śpiewał, nawpół zaś wykrzykiwał coś po estońsku. Najczęściej jednak ani krzyczał, ani śpiewał, lecz, zacisnąwszy zęby, pod

wpływem jakiejś nieokreślonej wściekłości, cierpień czy zachwytu pozwalał się unosić szalonemu pędowi, nie bacząc na przechodniów, nie ostrzegając ich, nie zwalniając biegu ani na skrętach ani na spadzistościach. Trudno było zrozumieć, w jaki sposób nie przejechał kogo, lub sam nie rozbił się gdzie na śmierć podczas takiej szalonej jazdy.

Właściwie należało go dawno wypędzić, tak jak wypędzano go z każdej służby; ponieważ jednak był tanim, a inni parobcy nie byli lepsi, przeto siedział już dwa lata.

Przygód, czy wypadków w życiu nie miał żadnych. Niegdyś otrzymał jakiś list po estońsku; ponieważ jednak sam nie znał ani litery, a nikt w okolicy nie znał tego języka, przeto list pozostał nieczytanym i Janson z jakąś dziką, rozpaczliwą obojętnością rzucił go na kupę gnoju. Raz jeszcze parobek sprobował zalecać się do kucharki, ale nie miał powodzenia; został brutalnie odepchnięty i wyśmiany; nic dziwnego — wzrost miał mały, twarzyczkę zmiętą, nikłą, piegowatą z oczkami zielonkawo-brudnego koloru. Niepowodzenie to Janson przyjął również obojętnie i więcej nie zwracał na kucharkę uwagi.

Mówiąc jednak mało, parobek nieustannie się czemuś przysłuchiwał. Przysłuchiwał się wiatrom, wiejącym na ponurem śnieżnem polu, na którem sterczały kupki zmarzniętego nawozu, niby otulone śniegiem mogiłki, wsłuchiwał się w dal śnieżną i w dudnienie telegraficznych słupów i w rozmowy ludzkie. Co mu opowiadało pole i słupy telegraficzne, wiedział on je-

den tylko, a rozmowy ludzkie trwożne były i niespokojne i pełne wieści o mordach, rabunkach i pożogach. I w nocy słychać było, jak w sąsiedniej osadzie dzwonił cieniutko na ewangielickim kościołku mały dzwoneczek i jak trzeszczały deski domu, objętego płomieniem; podobno jacyś nieznani rabusie napadli na farmę, gospodarza i jego żonę zabili, a dom podpalili.

I na jego farmie obawiano się również; nietylko w nocy, ale i w dzień spuszczano psy łańcuchowe, a gospodarz spał z bronią przy boku. Taką samą fuzję, tylko jednorurkę i starą, chciał dać Jansonowi, ale ten pokręcił nią na wszystkie strony, pokiwał głową i nie chciał wziąć. Gospodarz nie mógł zrozumieć przyczyny tej odmowy i zwymyślał parobka, który więcej dowierzał swemu fińskiemu ostremu nożowi niż starej, zardzewiałej jednorurce.

— Ona mnie samego jeszcze zabije, — rzekł Janson, patrząc na gospodarza swemi sennemi szklanemi oczkami.

— Głupiec jesteś, Janie. I żyj tu, człowiecze, z takimi ludźmi,—rzekł gospodarz i machnął rozpaczliwie ręką.

I otóż ten sam Janson, nie mający zaufania do fuzji, pewnego zimowego wieczoru zamierzył spełnić potrójną zbrodnię: morderstwo, rabunek i zgwałcenie kobiety.

Wszystkiego zaś tego dokonał bardzo zwyczajnie: kucharkę zamknął w kuchni, do gospodarza podszedł leniwie, jak człowiek, któremu spać się chce

śmiertelnie, i nagle raz za razem uderzył go po dwakroć nożem w plecy. Gospodarz nieprzytomny zwalił się na ziemię, gospodyni zaczęła krzyczeć, a Janson, wyszczerzywszy zęby, wymachując nożem, zaczął otwierać kufry, przewracać w komodach i szafach. Nareszcie znalazł pieniądze; wtedy nagle, jakby po raz pierwszy ujrzał gospodynię, i ogarnięty dzikim, zwierzęcym szałem, rzucił się ku niej. W tym ruchu jednak nóż wypadł mu z ręki, gospodyni okazała się silniejszą i nietylko nie pozwoliła popełnić na sobie gwałtu, ale o mało nie udusiła napastnika. Jednocześnie poruszył się na podłodze gospodarz i kucharka poczęła wybijać drzwi żelaznym rondlem. Janson uciekł w pole. Schwytano go w godzinę później, kiedy, siedząc w kucki, zapalał jedną po drugiej gasnące wciąż zapałki, czyli wykazywał zamiar podpalenia, podług brzmienia oskarżenia.

W kilka dni później gospodarz umarł na zakażenie krwi, a Jansona stawiono przed sąd i skazano na karę śmierci. Podczas rozpraw w sądzie był takim samym jak zwykle: szczupłym, drobnym, piegowatym z małemi, zaspanemi, szklanemi oczkami. Zdawało się, że niezupełnie rozumiał to, co się wkoło niego działo, słuchał więc obojętnie, mrugał jasnemi rzęsami, oglądał wielką salę bezmyślnie, bez najmniejszego cienia ciekawości i dłubał w nosie twardym, poczerniałym w pracy palcem. Tylko ci, którzy widywali go w niedzielę w kościele, domyśliliby się może, że przybrał się staranniej: włożył na szyję włóczkowy brudno-czerwonego koloru szalik i zmaczał gdzienie-

gdzie włosy. Zmaczane pasma przybrały ciemniejszy kolor i leżały gładko przy głowie, podczas kiedy reszta podnosiła się jasno-żółtemi kępkami, niby słoma na chudem, stratowanem przez grad polu.

Dopiero kiedy mu przeczytano wyrok, skazujący go na karę śmierci, Janson wzruszył się i zaniepokoił nagle. Zaczerwienił się mocno i machinalnie zaczął zawiązywać i rozwiązywać szalik, jakby mu niespodzianie tchu zabrakło; potem zaczął dziwacznie wymachiwać rękami, zwrócił się do sędziego, który nie czytał wyroku, i, wskazując palcem na tego, który czytał, rzekł:

— Ona powiedziała, że mnie należy powiesić.

— Co znowu za ona? — zapytał szorstkim basem prezes, czytający wyrok. Wszyscy uśmiechnęli się mimowolnie, chowając swoje uśmiechy pod wąsem, zagłębiając się w papiery, a Janson wskazał palcem na prezesa i, spojrzawszy na niego zpodełba, odrzekł:

— Ty!

— A więc?

Janson zwrócił się znowu do milczącego, powstrzymującego uśmiech, sędziego, w którym odczuwał człowieka i przyjaciela, nie mającego nic wspólnego z wyrokiem, i powtórzył:

— Ona powiedziała, że mnie trzeba powiesić. Mnie nie trzeba wieszać.

— Wyprowadźcie obwinionego.

Janson jednakże zdążył raz jeszcze powtórzyć wyraźnie i z przekonaniem:

— Nie trzeba mnie wieszać.

Był tak idjotycznym z tą swoją zagniewaną twarzyczką, której napróżno starał się nadać wyraz godności, z tym twardym, wyciągniętym palcem, że nawet konwojujący go żołnierz, naruszając przepis, odezwał się półgłosem:

— Ach, ty głupi chłopie.

— Nie trzeba mnie wieszać, — powtórzył uparcie Janson.

— Oho, podciągną tak, że to moje uszanowanie, nawet drgnąć nie zdążysz.

— Milcz, nie gadaj! — zawołał drugi konwojujący, ale sam nie mógł wytrzymać i dodał:

— To ci, panie, rozbójnik! Po coś, głupcze, zagubił duszę ludzką, co? Teraz sobie zawiśniesz.

— Może do łaski podadzą, — rzekł znowu pierwszy żołnierz, któremu żal się zrobiło Jansona.

— Aha, właśnie dla takich jest łaska... No, dosyć tej gawędy.

Janson też już zamilkł. I znowu posadzono go do tej samej celi, w której przesiedział już miesiąc i do której zdążył się już przyzwyczaić, tak jak przyzwyczajał się do wszystkiego: do bicia, do wódki, do samotnego pola, pokrytego drobnemi mogiłkami nawozu. Teraz nawet ucieszył się względnie, kiedy ujrzał swoje posłanie, swoje zakratowane okienko, a przedewszystkiem kiedy mu dali jeść — od rana bowiem nic nie miał w ustach. Nieprzyjemnem było tylko to, co się tam w sądzie stało, ale myśleć o tem

nie chciał, nie umiał. Śmierci przez powieszenie nie był w stanie sobie wyobrazić nawet.

Janson skazany został na karę śmierci, ale takich jak on było w więzieniu wielu i dlatego nie uważano go wcale za poważniejszego przestępcę. Z tego też powodu rozmawiano z nim bez obawy i bez owego szacunku, jak z każdym innym, któremu śmierć nie grozi jeszcze, jakgdyby jego śmierci nawet za śmierć uważać nie było można. Dozorca więzienia, dowiedziawszy się o wyroku, rzekł do niego pouczająco:

— Widzisz, bratku, otóż pójdziesz na szubienicę.

— A kiedy mnie powieszą? — zapytał Janson niedowierzająco. Dozorca zamyślił się na chwilę.

— Z tem to poczekasz jeszcze, kochanku, dopóki nie zbierze się partja. Jeden, a jeszcze taki jak ty, nie wart zachodu. Musi być jakaś groza.

— Ale kiedy? — dopytywał się natarczywie Janson. Nie obraził się o to wcale, że go nie warto wieszać, nie uwierzył nawet temu; uważał, że jest to tylko pozór, aby karę odroczyć, a później zupełnie mu ją darować. Zrobiło mu się na duszy lekko i wesoło: ta straszna chwila, o której myśleć nawet nie było można, odsuwała się gdzieś daleko, stawała się jakąś bajeczną i nieprawdopodobną, jak każda śmierć.

— Kiedy, kiedy! — rozgniewał się tymczasem dozorca, ponury, ciężko myślący starzec. — Cóż ty sobie myślisz, że człowieka to się jak psa wiesza, wyprowadza się za stodołę, raz dwa i koniec? Tybyś może tak i chciał, głupcze!

— A ja nie chcę! — skrzywił się nagle pocieszznie Janson. — To ona powiedziała, że mnie należy powiesić, a ja nie chcę! —

I może pierwszy raz w życiu zaśmiał się skrzeczącym, idjotycznym, lecz dziwnie wesoło-radosnym śmiechem. Zupełnie jak gąsior, kiedy woła: gę-gę-gę! Dozorca popatrzył na niego ze zdziwieniem, potem zmarszczył się surowo: ta bezsensowna wesołość człowieka, który miał być karanym, obrażała więzienie, obrażała kaźń samą i czyniła je czemś dziwnem. I nagle na chwilę, na jedną krótką chwilę, zdawało się staremu dozorcy, który całe swoje życie spędził w więzieniu i przepisy więzienne uważał za prawa natury, że i więzienie to i całe życie nawet jest jednym domem warjatów, w którym on sam jest najgłówniejszym warjatem.

— Tfy, ażeby cię! — splunął gniewnie. — Czego zęby szczerzysz, tu nie szynkownia!

— A ja nie chcę — gę-gę-gę! — śmiał się Janson.

— Szatan — mruknął dozorca, czując mimowolną potrzebę przeżegnania się.

Najmniej chyba do szatana mógł być podobnym ten człowiek ze swoją drobną, nikłą twarzyczką, a jednak w jego ptasiem gęganiu było coś, co niweczyło świetność i moc więzienia. Zdawało się, że gdyby raz jeszcze roześmiał się w ten sposób, zgniłe ściany rozpadłyby się momentalnie, wypadłyby rozmiękłe kraty i dozorca sam chyba wyprowadziłby swoich więźniów za bramy, mówiąc uprzejmie: „proszę, panowie, spa-

cerujcie sobie po mieście, a może kto chce na wieś? Szatan, prawdziwy szatan!

Lecz Janson przestał się śmiać i tylko mrużył filuternie oczy.

— No, pamiętaj! — rzekł dozorca z jakąś niewypowiedzianą groźbą i odszedł, oglądając się nieustannie.

Przez cały wieczór Janson był spokojny, a nawet wesoły. Powtarzał nieustannie wypowiedziany frazes: „nie trzeba mnie wieszać“ i frazes ten był tak przekonywującym, tak mądrym, tak rzeczywistym, że o resztę nie warto się było kłopotać. O zbrodni swojej zapomniał zupełnie, niekiedy tylko żałował, że nie udało mu się zgwałcić gospodyni; wkrótce jednak zapomniał i o tem.

Co rano zapytywał, kiedy go będą wieszać, i co rano dozorca odpowiadał mu gniewnie:

— Zdążysz jeszcze, szatanie. Posiedź trochę, — i odchodził pospiesznie, zanim Janson miał czas się roześmiać.

Te jednostajnie powtarzające się zdania, to, że dzień każdy zaczynał się, przechodził i kończył tak jak każdy dzień zwyczajny, wszystko to razem przekonywało Jansona coraz bardziej, że żadnej kaźni nie będzie. Bardzo prędko zapomniał o sądzie i całymi dniami leżał na tapczanie, marząc o śnieżnych polach z mogiłkami, o stacyjnym bufecie i o czemś jeszcze niejasnem, oddalonem, a przecież miłem i świetlanem. W więzieniu karmili go stosunkowo dobrze, tak że po

kilku już dniach zaczął przytywać i zbudziła się w nim pewna próżność.

— Teraz toby mnie chciała, — pomyślał, przypominając sobie gospodynię. — Teraz jestem tak gruby, jak sam gospodarz.

Za wódką tylko tęsknił, za wódką i za szaloną jazdą.

Kiedy zaaresztowano terrorystów i wieść o tem doszła do więzienia, na zwykłe pytanie Jansona dozorca tym razem odpowiedział inaczej.

— Teraz to już niedługo, — rzekł dzikim jakimś tonem.

Popatrzył na niego z powagą i godnością i dodał:

— Tak, teraz to już niedługo, za jakiś tydzień może.

Janson zbladł; zdawało się, że zasypia, tak mętnem stało się spojrzenie jego szklanych źrenic.

— Żartujesz — rzekł.

— Nie mogłeś się doczekać, a teraz mówisz, że żartuję. Tutaj żartów niema, ty lubisz stroić żarty, ale nam nie wolno,—odrzekł dozorca, odwrócił się z godnością i odszedł.

Janson schudł do wieczora. Jego gładko obciągnięta skóra pomarszczyła się w tysiące drobniutkich fałdek, a miejscami nawet obwisła. Oczy zrobiły się senne, ruchy tak powolne i zmęczone, jakby każde poruszenie głowy, każde zgięcie palców było poważnem przedsięwzięciem, nad którem długo się namyślać było trzeba. Z nadejściem nocy położył się na tap-

czanie, ale powiek nie zamknął i leżał tak do rana z otwartemi oczami.

— Aha, — rzekł następnego dnia dozorca, ujrzawszy jego minę. — Widzisz, kotku, że tu nie szynkownia.

Obejrzał raz jeszcze obwinionego z uczuciem pożądanego zadosyćuczynienia; miał poczucie badacza, któremu raz jeszcze udało się wykazać zasadniczość jego doświadczeń: teraz wszystko już pójdzie, jak po maśle. Szatan został pohańbiony, świętość więzienia i kaźni wzięła górę, więc łagodnie, z pewną litością nawet, zapytał:

— Czy będziesz się z kim widział?

— Nie, poco mam się widzieć?

— Pożegnać się. Z matką naprzykład, z bratem.

— Nie trzeba mnie wieszać, — rzekł Janson cicho i jakoś bokiem spojrzał na dozorcę. — Ja nie chcę.

Dozorca machnął tylko ręką.

Nad wieczorem Janson uspokoił się trochę. Dzień przeszedł zwyczajnie: zwyczajnie świeciło chłodne, zimowe słońce, zwyczajnie dźwięczały na korytarzu ostrogi i głos czyjś krótki, rozkazujący, zwyczajnie pachniała kwaszona kapusta i Janson mimowoli przestał wierzyć w kaźń. Pod noc zrobiło mu się znowu gorzej. Dotychczas noc znał tylko jako ciemność, podczas której spać należało, teraz po raz pierwszy poczuł jej istność tajemniczą i groźną. Aby nie wierzyć w śmierć, musiał słyszeć wkoło siebie zwyczajne głosy

i kroki, musiał widzieć światło, musiał czuć zapach kwaszonej kapusty; teraz podczas nocy wszystko było jakieś inne, nadzwyczajne, i ta cisza i ten mrok, które same w sobie wydawały się być już śmiercią samą.

Im dłużej przeciągała się ta noc okropna, tem stawała się straszniejszą. Z naiwnością dzikusa lub dziecka, dla których nie istnieje niepodobieństwo, Janson chciał rozkazać słońcu, aby świeciło. Prosił więc i błagał choćby o jeden tylko promień światła, lecz noc wlokła obojętnie czarne godziny swoje i nie było siły ludzkiej, która mogłaby zatrzymać jej bieg nieskończony. Ta niemożliwość, którą po raz pierwszy tak jasno dostrzegł słaby umysł Jansona, napełniła go przerażeniem; jeszcze niedokładnie, przeczuciowo raczej zrozumiał już jednak całą nieodwołalność bliskiej śmierci i martwiejącą nogą wstępował na pierwszy stopień szafotu.

Światło dzienne uspokoiło go nieco, noc przeraziła znowu i tak było na zmianę aż do tej nocy, kiedy poczuł i zrozumiał ostatecznie, że śmierć jest nieuniknioną i że nastąpi za trzy dni o świcie, kiedy słońce wstawać zacznie.

Nigdy nie myślał o śmierci, nie umiał wyobrazić, upostaciować jej sobie, teraz jednak poczuł jasno, dojrzał, odczuł całą istotą swoją, że weszła tutaj do jego celi i szuka go, macając rękoma.

A cela była taka maleńka, taka jakaś dziwna z rozwartymi kątami, które otwierają się jakby i pchają go ku środkowi. A tu niema się za co schować,

i drzwi zamknięte, i widno. Kilka razy uderzył się tułowiem o ściany, raz runął na drzwi — lecz cicho było i pusto wszędzie. Nareszcie potknął się o coś, upadł na ziemię i poczuł, że ona, ta śmierć znalazła go, że chwyta go kościstemi rękami. I przywarłszy twarzą do ziemi, chowając oblicze w mokry i brudny asfalt, Janson zaczął nagle krzyczeć z przerażenia. Leżał i krzyczał tak przeraźliwie, dopóki nie wpadli do niego. I wtedy nawet, kiedy posadzono go na tapczanie, kiedy oblano mu głowę wodą, Janson bał się otworzyć zaciśnięte powieki. Już, już otwierał jedno oko, gdy nagle, dojrzawszy pusty kąt, a nawet koniec czyjegoś buta, zaczynał krzyczeć na nowo. Zimna jednak woda poczęła działać, pomogło prawdopodobnie i to jeszcze, że dozorca, ten sam staruszek, kilka razy uderzył go po głowie, jakby w przekonaniu, że będzie to najskuteczniejszem lekarstwem. Rzeczywiście, przywróciło to Jansonowi poczucie życia i odpędziło śmierć. Parobek otworzył nawpół przytomne oczy i pozostałą część nocy przespał mocnym snem zwierzęcym. Leżał na plecach z otwartemi ustami i chrapał głośno, a z pod niedomkniętych powiek bielały mu zapadłe, martwe oczy bez źrenic.

Potem już wszystko na świecie: i dnie, i noce, i kroki, i głosy, i kapuśniak z kwaszonej kapusty, wszystko przerażało go dziwnie lub doprowadzało do stanu dzikiego, z niczem nie dającego się porównać, zdziwienia. Jego słaby mózg nie mógł skojarzyć z sobą tych tak straszliwie sprzecznych pojęć jak zwykły jasny dzień, zapach i smak kapusty i ta straszliwa

świadomość, że za trzy dni, za dzień jeden umrzeć musi. Janson nie myślał o tem, nie rozumował, nie liczył nawet godzin, lecz poprostu stanął w niemem przerażeniu przed tą sprzecznością, która rozerwała mu duszę na dwie części; i stał się bladym, ani bledszym, ani czerwieńszym, lecz bladym i spokojnym. Nie tylko nie jadł ale i nocami nie spał wcale: albo przesiadywał je na stołku, podgiąwszy trwożliwie pod siebie nogi, albo wolnym, skradającym się krokiem, oglądając się sennie, spacerował po celi. Usta miał stale nawpół otwarte, jakby w nieustającem, wielkiem zdziwieniu, i, zanim wziął do ręki pierwszy lepszy przedmiot, rozglądał go długo i bezmyślnie i niedowierzająco brał potem.

Od chwili, kiedy Janson zmienił się w ten sposób, dozorca i żołnierze zostawili go w spokoju i przestali śledzić przez okienko. Był to zwykły stan skazanych, — podług teorji dozorcy, który przecież nic takiego nie doświadczał nigdy, — podobny do stanu prowadzonego na rzeź bydlęcia, kiedy je uderzeniem obucha po łbie ogłuszą.

— Teraz ogłuchł i nic już do samej śmierci czuć nie będzie, — mówił dozorca, wpatrując się w niego doświadczonym wzrokiem. — Janie, czy słyszysz? Hej, Janie!

— Nie trzeba mnie wieszać, — odrzekł bezbarwnym głosem Janson i dolna warga opadła mu znowu.

— Nie trzeba było zabijać, nie trzebaby było wieszać, — wtrącił sentencjonalnie starszy dozorca, mło-

dy jeszcze lecz poważny mężczyzna z orderami. — Zabić, zabiłeś, a powieszonym być nie chcesz. Myślałeś, że zabijać można tak sobie, za darmo. Głupi, niby głupi, a sprytny.

— Nie chcę, — powtórzył Janson.

— To sobie nie chciej, — rzekł obojętnie starszy, — to już twoja rzecz. Ale zamiast pleść głupstwa, lepiejbyś rozporządził swoim dobytkiem — masz przecie cośkolwiek.

— Et, koszulę tylko i spodnie i jeszcze czapkę futrzaną — taki elegant!

W ten sposób przeszedł czas do czwartku. W czwartek o 12-tej w nocy weszło do celi Jansona kilku ludzi i jakiś pan w epoletach rzekł rozkazująco:

— Proszę się zabierać. Musimy jechać.

Janson tak samo powoli i sennie włożył na siebie wszystko, co miał, i na szyi zawiązał brudno-czerwony szalik. Patrząc na niego, pan w epoletach zapalił papierosa i rzekł do kogoś:

— Śliczny dzień mieliśmy dzisiaj. Zupełna wiosna.

Oczki Jansona kleiły się widocznie, prawie zasypiał i ruszał się tak wolno, że aż dozorca krzyknął na niego:

— Prędzej, gapiu. Zasnąłeś, czy co! — A Janson stanął na środku.

— Nie chcę, — rzekł cicho.

Wzięli go pod ręce i poprowadzili, a on posłusznie przestawiał nogi i od czasu do czasu wznosił ramiona do góry. Na dworze objęło go wilgotne wio-

senne powietrze i pod noskiem zjawiła się wilgoć; pomimo nocy, odwilż brała coraz silniej i skądciś spadały na kamień wesołe krople wody. Czekając na swoją kolej, podczas kiedy do czarnej, bez latarń, karety pakowali się żandarmi, brzęcząc ostrogami i szablami, Janson stał spokojnie, leniwie tarł palcem pod mokrym nosem i poprawiał źle zawiązany szalik.

4. My, z Orłowa.

Ten sam skład wojskowo-okręgowego sądu, który sądził Jansona, skazał również na śmierć przez powieszenie wieśniaka z gubernii Orłowskiej, powiatu Jeleckiego, niejakiego Michała Gołubca, z przezwiska Miszkę Cyganka, lub Tatarzyna. Ostatnią dowiedzioną mu zbrodnią było zabicie trojga ludzi i zbrojny napad i rabunek; co było przedtem, niewiadomo, przeszłość tego człowieka była zakryta mgłą. Dochodziły tylko jakieś niewyraźne wieści o całym szeregu morderstw i rozbojów, wyczuwało się poza nim i ogień, i krew, i szał pijany. Z zupełną szczerością i otwartością nazwał sam siebie rozbójnikiem i z szyderstwem odzywał się o tych, którzy podszywali się pod miano „eksproprjatorów“. O ostatniej swej zbrodni, której wobec dowodów nie warto się było zapierać, mówił chętnie i szczegółowo, na wszelkie zaś pytania, tyczące się przeszłości, szczerzył zęby i pogwizdywał:

— Szukajcie wiatru w polu!

Jeżeli już bardzo dokuczano mu dopytywaniem, Cyganek prostował się i z powagą i godnością odpowiadał:

— My, z Orłowa, wszyscyśmy zapalone głowy, — mówił z namysłem. — W Orle i w Kromach — najpierwsi złodzieje, w Karaczewie i Liwnach złodziejów nad miarę, ale Jelec to ojciec wszystkich złodziejów. To chyba dosyć!

Cygankiem przezwali go towarzysze za jego wygląd i złodziejskie narowy. Włosy miał dziwnie czarne, sam był szczupły, z jakiemiś żółtemi plamami opalenizny na wystających tatarskich kościach policzkowych; białka oczu wywracał jak koń i wiecznie się gdzieś spieszył. Wzrok miał bystry, oczy ruchliwe, spojrzenie proste, lecz pełne jakiejś dziwnej ciekawości chwytnej i chciwej, że mimowoli zdawało się, iż każda rzecz, na którą choćby przelotnie spojrzał, traciła coś, oddawała mu część siebie samej i stawała się inną. Jeżeli spojrzał na papierosa, to papieros ten stawał się tak nieprzyjemnym, jakby już był w czyichś ustach. Jakiś duch niespokojny mieszkał w nim stale i sprawiał, że raz kurczył się cały, jakby pod uderzeniami batoga, to znowu wybuchał, niby snopem drgających życiem iskier. Ogień miał w sobie i wodę pił wiadrami, jak koń.

Podczas sprawy na wszelkie pytania odpowiadał krótko, twardo, jakby z pewnem zadowoleniem, zrywając się za każdym razem z ławy:

— Tak jest!

Niekiedy podkreślał:

— Zupełnie dokkkładnie!

Raz, kiedy mówiono o czem innem, zerwał się z miejsca i rzekł do prezesa:

— Pozwólcie mi panowie gwizdnąć!

— Poco? — zdziwił się prezes.

— Bo ten pan opowiada właśnie, w jaki sposób dawałem znak towarzyszom. To bardzo ciekawe.

Cokolwiek zdziwiony prezes zgodził się na ten eksperyment. Cyganek wsadził w usta cztery palce, po dwa od każdej ręki, i nagle martwą atmosferę sądowej sali przeszył przeraźliwy, prawdziwie junacki gwizdek, na dźwięk którego przestraszone konie przysiadają na zady, a twarze ludzkie bledną mimowolnie. I wszystko było w tym nie ludzkim i nie zwierzęcym głosie: i męka zabijanego, i dzika radość mordercy, i ostrzeżenie groźne, i groźniejsze jeszcze wezwanie, i ponura ciemność chmurnej jesiennej nocy, i tęsknota, i samotność, — nie darmo więc bladły twarze ludzkie na ten głos straszliwy.

Prezes krzyknął coś, gwałtownie zamachał ręką, a Cyganek zamilkł posłusznie. Potem, jak artysta, który wyśpiewał doskonale trudną i nie zawsze udającą mu się arję, wytarł o płaszcz mokre jeszcze palce i, zadowolony z siebie, spojrzał po obecnych.

— Typowy rozbójnik! — rzekł jeden z sędziów, trąc ucho.

Drugi sędzia, z szeroko rozrosłą brodą z takiemi samemi jak u Cyganka tatarskiemi oczami, spojrzał marzycielsko gdzieś daleko nad głową podsądnego, uśmiechnął się i rzekł:

— A jednak to naprawdę ciekawe.

Z całym spokojem sumienia, bez żadnej litości,

bez najmniejszego drgnięcia serca sędziowie wydali wyrok, skazujący Cyganka na śmierć.

— Doskonale, — rzekł Cyganek po odczytaniu wyroku. — A w szerokiem polu kładka sobie leży. Tak, doskonale!

I zwróciwszy się do konwojującego go żołnierza, dodał junacko:

— No, chodźmy, ty kwaśny grzybie. A broń trzymaj mocno, bo ci odbiorę!

Żołnierz spojrzał ostro, lecz z pewną obawą. Potem zamienił spojrzenie ze swoim towarzyszem i opatrzył kurek u karabinu. Drugi uczynił to samo. Przez całą drogę do więzienia żołnierze nie szli, a zda się płynęli po powietrzu; tak całkowicie pochłonięci byli troską o zbrodniarza, że nie czuli ani ziemi, ani czasu, ani nawet samych siebie.

Do dnia kaźni Miszka Cyganek musiał tak samo jak Janson czekać dni siedemnaście. Całe te siedemnaście dni przeleciały mu jak jeden dzień, jak jedna niegasnąca myśl o ucieczce, o swobodzie, o życiu. Niespokojny duch Cyganka, dławiony przez mury i kraty, zgnębiony przez umarłe okno, za którem nic widać nie było, zwrócił całą swoją wściekłość na wewnątrz i palił myśl jego jak rozrzucony na desce węgiel. Niby w pijanym szale, wirowały przed nim jaskrawe, lecz niewykończone obrazy i mknęły przed nim szalonym korowodem i wszystkie dążyły do jednego celu, do jednego marzenia o ucieczce, o woli, o życiu szerokiem. Rozdymając nozdrza, jak koń rasowy, Cyganek całemi godzinami wciągał w płuca powietrze — zda-

wało mu się, że gdzieś pachną konopie, że zalatuje go dym pożarów, bezbarwny i gryzący czad zwęglonych osad; to znowu niby fryga kręcił się po celi, szybko macając ściany, pukając palcami, mierząc odległość, przebijając wzrokiem sufit, przepiłowując kraty. Tą ruchliwością do tego stopnia zmęczył pilnującego go żołnierza, że ten groził mu strzelaniem; Cyganek odpowiadał brutalnie i sprawa kończyła się pokojowo tylko dlatego, że spór przechodził w zwyczajną chłopską kłótnię, przy której strzelanie wydawało się czemś bezsensownem i niemożliwem.

Podczas nocy Cyganek spał zwykle twardo, nie ruszając się prawie, jak zatrzymana na chwilę sprężyna. Zerwawszy się jednak rano, zaczynał się kręcić na nowo, obliczać, pukać, dotykać. Ręce miał zawsze gorące i suche, serce jednak chwilami stygło tak dziwnie, jakby mu włożono w piersi kawałek nie topniejącego lodu, który sprowadzał drobne, suche, rozchodzące się po całem ciele, dreszczyki. Ciemny, opalony Cyganek w takiej chwili czerniał jeszcze bardziej i twarz jego przybierała odcień sinawej stali. Dziwne też przyzwyczajenie zjawiło się w nim nagle; jakby najadłszy się czegoś zbyt słodkiego, nieustannie oblizywał usta, cmokał i z sykiem spluwał przez zęby napływającą ślinę. Prócz tego nie domawiał wyrazów, tak szybko biegły mu myśli, że słowem dopędzić ich nie mógł.

Pewnego dnia wszedł do niego starszy dozorca w towarzystwie konwojującego żołnierza. Spojrzał bokiem na zaplutą podłogę i rzekł:

— Patrzcie, jak zapaskudził!

Cyganek spojrzał na niego i odrzekł natychmiast:

— Ty, tłusta mordo, zapaskudziłeś całą ziemię, a ja ci nic nie mówię. Pocoś przylazł?

Dozorca gniewnie zaproponował mu, aby został katem. Cyganek wyszczerzył zęby i roześmiał się.

— Aha, brak wam? Dowcipnie. Idź i powieś, ha-ha-ha! Sznurek macie i szyję macie, tylko niema tego, kto powiesi. Jak Boga kocham, kapitalne!

— Darują ci za to życie.

— Ja myślę; umarły nie będę mógł przecie wieszać. Miałeś też co powiedzieć, głupcze!

— Więc decydujesz się? Gadaj tak albo nie.

— A jak tutaj u was wieszają? Pewnie tak sobie, duszą pocichu.

— Nie, z muzyką — warknął dozorca szyderczo.

— Ot głupiec. Naturalnie, że powinno być z muzyką. W ten sposób naprzykład — i zaśpiewał jakąś pieśń junacką.

— Zupełnie zwarjowałeś, kochanku — rzekł dozorca. — No więc jak, gadaj porządnie.

Cyganek znowu pokazał zęby.

— Patrzcie, jaki prędki. Przyjdź jeszcze raz, to ci powiem.

Do chaosu wrażeń, dręczących duszę Cyganka swoją zmiennością i szybkością, przybyło od tej chwili jedno jeszcze, a mianowicie obraz kata w czerwonej koszuli. Przed wyobraźnią jego stanął wyraźnie obszerny plac, zapełniony milczącym tłumem, i pomost wysoki, a na tym pomoście on, Cyganek, spacerujący

sobie z toporkiem w ręku. Słońce świeci tak jasno, pada na wszystkie głowy i złotym promieniem odbija się w ostrzu błyszczącego topora. I wszystko takie piękne, takie bogate, takie wesołe, że nawet ten, komu za chwilę ma uciąć głowę, uśmiecha się mimowolnie. A za tłumem widać wozy i głowy końskie—to chłopi zjechali na widowisko; a dalej jeszcze szerokie, nieskończone pole.

— Ccc!... — cmokał Cyganek i, oblizując się, spluwał napływającą ślinę; nagle, jakby mu kto nacisnął futrzanę czapkę do samych ust, zrobiło mu się ciemno i duszno i serce stało się znowu kawałkiem nietopniejącego lodu, sprowadzającego drobne, suche dreszczyki.

Dwa razy jeszcze przychodził dozorca, a Cyganek mówił, szczerząc zęby:

— Nie bądź takim prędkim. Przyjdź jeszcze raz.

Nareszcie kiedyś dozorca krzyknął mu przez okienko:

— Przegawroniłeś swoje szczęście, gawronie. Znaleźliśmy innego!

— To i wynoś się do djabła, wieszaj sobie sam! — mruknął Cyganek i przestał marzyć o czerwonej koszuli kata.

Im bliżej jednak było końca, tem coraz bardziej nieznośną stawała się ta szalona zmienność wrażeń. Cyganek pragnąłby się już zatrzymać, rozstawić nogi i zatrzymać, lecz rwący potok unosił go z sobą, a on nie miał nic, za coby się mógł uchwycić; wszystko do-

koła niego płynęło i mknęło, powoli i sen jego zaczynał się stawać niespokojnym; w marzeniach sennych poczęły się zjawiać przed nim widzenia ciężkie, jak drewniane, malowane bałwanki, a szybsze od myśli. Nie był to już porywający potok, lecz jakieś nieskończone spadanie z nieskończonej góry, jakiś wichrowaty zlot przez świat barwisty. Na swobodzie Cyganek nosił tylko zawadjackie wąsy, w więzieniu urosła mu czarna, krótka, ostra broda, która nadawała straszny, obłąkany wyraz jego twarzy. Chwilami Cyganek zapominał się rzeczywiście i bezmyślnie kręcił po celi, odczuwając tylko szorstkie, lepione jej ściany. Wodę pił nieustannie, jak koń.

Pewnego razu, kiedy zapalono światła, Cyganek stanął na czworakach na środku celi i zaczął wyć drżącem wyciem wilka. Wyglądał przytem bardzo poważnie i wył, jakby wykonywał coś bardzo poważnego i nieodzownego. Nabierał powietrza w pierś, wydychał je wolno, wyjąc drżącym, nieludzkim głosem i uważnie przysłuchiwał się wychodzącym z jego gardła tonom. I ta wibracja w głosie wydawała się cokolwiek sztuczną, nie krzyczał bezmyślnie, lecz każdą nutę wyprowadzał starannie w tym zwierzęcym, pełnym niewypowiedzianego lęku i cierpienia, wyciu. Nagle przestał, chwil kilka stał jeszcze na czworakach w milczeniu i szepnął cichutko, zwrócony twarzą ku czarnej, zimnej ziemi:

— Gołąbeczki kochane... gołąbki drogie, miejcie litość... drodzy!... kochani!...

I temu przysłuchiwał się również, powie jeden wyraz i słucha jak on brzmi w powietrzu.

Potem zerwał się nagle i zaczął wymyślać gwałtownie i szybko, bez tchu prawie, przez całą godzinę.

— Ach, wy tacy i owacy! — krzyczał, wywracając krwawemi ślepiami. — Macie wieszać, to wieszajcie, a nie, to... Tacy i owacy...

I blady jak kreda żołnierz ze łzami przygnębienia i strachu w oczach pukał kolbą w zamknięte drzwi celi i krzyczał z rozpaczą jakąś:

— Strzelę, jak Boga kocham strzelę! Czy słyszysz?

Nie mógł, nie wolno mu jednak było strzelać: do skazanych na śmierć nie strzelano nigdy, chyba w wypadku jakiegoś buntu z ich strony. A Cyganek zgrzytał zębami, wymyślał i pluł. Jego ludzki mózg, postawiony na potwornej, wązkiej granicy pomiędzy życiem i śmiercią, rozsypywał się na drobne cząstki, jak kawałek suchej, zwietrzałej gliny.

Kiedy w nocy zjawiono się po niego, Cyganek jakby odżył. W ustach miał ciągłą słodycz i ślina płynęła mu nieustannie, ale twarz mu poróżowiała nieco i w oczach błysnęła dawniejsza, nawpół dzika junakierja. Ubierając się, zapytał przybyłego po niego urzędnika:

— A kto mnie będzie wieszać? Nowy? Pewnie ma niewprawną rękę.

— Proszę się nie troszczyć o to, — rzekł sucho urzędnik.

— Jakto nie troszczyć, proszę jaśnie pana, przecież to mnie mają powiesić, a nie pana. Niech pan chociaż mydła na stryczek nie żałuje.

— Dobrze, dobrze, proszę być cicho.

— Bo ten, to chyba już wszystko mydło zeżarł, — dodał, wskazując na dozorcę, — ot, jak mu się to morda świeci.

— Milczeć!

— Proszę, niech pan nie poskąpi!

Cyganek zaczął chichotać, chociaż w ustach było mu coraz słodziej i nagle dziwnie ociężały nogi. Pomimo to, znalazłszy się na podwórzu więziennem, potrafił krzyknąć jeszcze:

— Kareta hrabiego bengalskiego!

5. Pocałuj i milcz.

Wyrok na pięciu terrorystów wydano odrazu w ostatecznej formie i tego samego dnia konfirmowano. Podsądnym nie powiedziano, kiedy nastąpi wykonanie wyroku, sądząc jednak z tego, jak się to zwykle praktykowało, wiedzieli, że zostaną powieszeni jeszcze tej samej nocy lub najpóźniej następnej. To też, kiedy zaproponowano im, aby następnego dnia, t. j. w czwartek, pożegnali się z krewnymi, zrozumieli odrazu, że kaźń odbędzie się w piątek o świcie.

Tania Kowalczuk nie miała bliższej rodziny, dalsi zaś krewni mieszkali w jakimś zapadłym kącie Małorusi i prawdopodobnie nie wiedzieli nawet ani o sądach, ani o karze; Musia i Werner, jako niewiadomi z nazwiska, nie mogli mieć rodziny, dwaj więc tylko, Sergjusz Gołowin i Wasyl Kaszyrin, mieli się zobaczyć z rodzicami. Obaj z rozpaczą i przygnębieniem myśleli o czekającej ich wizycie, nie mieli jednak odwagi odmówić tym najbliższym ostatniej rozmowy, ostatniego pocałunku.

Sergjusz Gołowin cierpiał bardzo. Kochał on swoich starych rodziców, widział się z nimi tak niedawno i z przerażeniem myślał o tem, co to będzie.

Kaźń nawet przy całej swej potwornej niezwykłości, przy uderzającej mózg bezmyślności swojej, wydawała się jego duszy lżejszą i nie tak okrutną jak te kilka chwil krótkich i niezrozumiałych, jak gdyby stojących czasem poza życiem nawet. Mózg jego nie wiedział, co on ma mówić, co myśleć, jak patrzyć. Najprostszy, najzwyczajniejszy ruch, ot, wzięcie ojca za rękę, pocałunek, te proste słowa: „Jak się masz, ojcze,“ — wydawały mu się niemożliwie okrutnemi w swym potwornym fałszu, nieludzkim i szalonym.

Po odczytaniu wyroku podsądnych nie posadzono razem, jak się tego spodziewała Tania Kowalczuk, lecz odprowadzono do cel oddzielnych; przez całe rano, aż do godziny jedenastej, Sergjusz Gołowin biegał jak szalony po swej celi, marszczył się jakoś żałośnie, skubał bródkę i mruczał coś nieustannie. Chwilami stawał, wciągał powietrze i parskał jak ktoś, co zbyt długo siedział pod wodą. Był jednak tak zdrowym, tak głęboko siedziała w nim siła życia, że nawet w chwilach najokrutniejszych cierpień policzki mu się różowiły i jasnym, naiwnym blaskiem promieniały niebieskie oczy.

Wszystko jednak przeszło daleko gładziej, niż Sergjusz mógł przypuszczać nawet.

Do pokoju, przeznaczonego na wizyty, pierwszy wszedł ojciec, dymisjonowany pułkownik, Mikołaj syn Sergjusza Gołowin. Cały był jakiś biały: i włosy, i twarz, i broda, i ręce, jakby ktoś śnieżny posąg ubrał w ludzkie ubranie; miał na sobie ten sam mundur stary, lecz wyczyszczony, pachnący benzyną, z no-

wymi poprzecznymi epoletami; wszedł krokiem twardym, wyraźnym, jak przed frontem podczas mustry, wyciągnął swoją białą rękę i rzekł głośno:

— Jak się masz, Sergjuszu!

Za nim dreptała matka, uśmiechała się dziwnie, lecz również uścisnęła mu dłoń; rzekła również głośno:

— Jak się masz, synu!

Potem pocałowała go w głowę i usiadła w milczeniu. Nie krzyknęła, nie zapłakała, nie zrobiła nic z tych okropnych rzeczy, których się tak obawiał Sergjusz, pocałowała tylko i usiadła w milczeniu. Nawet drżącemi rękami rozprostowała czarną jedwabną swą suknię.

Sergjusz nie wiedział, że, zamkąwszy się w swoim gabinecie, pułkownik całą poprzednią noc rozmyślał nad tym rytuałem.

— W ostatniej chwili nie wolno nam dodawać ciężaru naszemu synowi, ulgę mu tylko przynieść powinniśmy, — postanowił twardo pułkownik i drobiazgowo ważył każdy wyraz, każde zdanie przyszłej rozmowy, każdy ruch. Niekiedy jednak myśli plątały mu się bezwiednie, tracił wątek, zapominał wszystkiego, co z takiem staraniem przygotował sobie, i płakał gorzko w rogu kretonowej kanapy. A rano uczył żonę, jak się zachować powinna.

— Najważniejsza rzecz, pocałuj i milcz! — mówił. — Potem możesz nawet mówić, ale po pocałunku milcz. Nic nie mów po pocałunku, bo możesz powiedzieć nie to, co należy. Rozumiesz?

— Rozumiem, Mikołaju, — odrzekła, płacząc, matka.

— I nie płacz. Na miłosierdzie Boskie, nie płacz! Mogłabyś go zabić, gdybyś płakała, staruszko!

— A dlaczego ty płaczesz?

— Przy tobie! A ty nie płacz, czy słyszysz?

— Dobrze, Mikołaju.

W dorożce miał zamiar raz jeszcze powtórzyć żonie wszystkie ostrzeżenia, ale zapomniał i tak w milczeniu jechali oboje starzy, zgarbieni, zamyśleni, a wkoło nich wrzało życie i ruch i wesele; były to ostatki, na ulicach więc było wesoło i gwarno.

Usiedli. Pułkownik stanął w obmyślonej pozie, założywszy rękę za klapę surduta. Sergjusz usiadł przy matce, lecz, spojrzawszy bliżej na jej kochające, pomarszczone oblicze, zerwał się z miejsca.

— Usiądź, synku, — prosiła matka.

— Usiądź, Sergjuszu, — powtórzył za nią ojciec.

Zapanowało milczenie. Matka uśmiechała się dziwnie.

— Takeśmy się starali, aby ci pomódz, synku, ojciec...

— Zgóry było wiadomo, że to napróżno, mateczko...

— Powinniśmy byli zrobić wszystko, — rzekł pułkownik z mocą, — choćby dlatego, żebyś nie pomyślał, iż rodzice zostawili cię bez pomocy.

Znowu zamilkli. Bali się mówić, jakby wszystkie wyrazy w języku ludzkim straciły swoje znaczenie i oznaczały jedno tylko pojęcie: śmierć. Sergjusz spoj-

rzał na wyczyszczony surdut ojca i pomyślał: — wszak teraz nie ma służącego, więc sam go musi czyścić. Dziwna rzecz, że dotychczas nie zauważyłem, kiedy on surdut czyści, pewnie rano. I nagle zapytał głośno:

— A cóż siostra? Czy zdrowa?

— Nina nie wie o niczem, — odrzekła matka.

Lecz pułkownik zatrzymał ją wzrokiem.

— Poco to kłamstwo? — rzekł surowo. — Nina wie, bo czytała w pismach. Sergjusz powinien wiedzieć, że wszyscy... najbliżsi mu... przez cały czas... myśleli o nim i...

Nie mógł mówić dalej i zamilkł. Nagle twarz matki skurczyła się dziwacznie, potem rozszerzyła, zadrgała i zrobiła się mokrą i dziką. Wyblakłe oczy wytrzeszczyły się jak szalone, oddech stał się krótkim, coraz krótszym, głośniejszym i szybszym.

— Ser... Se... Ser... Se... — powtarzała nieruchomemi wargami. — Se...

— Matko!

Lecz pułkownik dał krok naprzód i, trzęsąc się w każdej fałdce swego surduta, w każdej zmarszczce swej twarzy, nie bacząc na to, że sam wygląda strasznie z tą swoją trupią białością, z wymuszoną, rozpaczliwą siłą zawołał na żonę:

— Milcz! Nie męcz go! Wszak on na śmierć idzie! Nie męcz go! Nie męcz!

Przestraszona zamilkła, a on, wytrząsając przed sobą zaciśniętemi pięściami, powtarzał jeszcze:

— Nie męcz go!

Potem uspokoił się znowu, cofnął się i z wyrazem strasznego wysiłku zapytał białemi wargami:

— Kiedy?

— Jutro rano, — odrzekł Sergjusz takiemi samemi białemi wargami.

Matka patrzyła na ziemię, poruszała ustami, jakby żuła coś i zdawała się nie słyszeć. Poczem, żując w dalszym ciągu, wyrzuciła ze siebie te proste, a jednak niezwykłe słowa:

— Nina kazała cię ucałować, Sergjuszu.

— Ucałuj ją odemnie — odrzekł Sergjusz.

— I Chwostowowie kazali cię pozdrowić.

— Jacy Chwostowowie? Ach, prawda!

— Czas nam wracać. Podnieś się, matko, pójdziemy, trzeba — przerwał pułkownik.

Wspólnemi siłami podnieśli osłabłą nagle kobietę.

— Pożegnaj go i przeżegnaj — rozkazywał pułkownik.

Spełniała posłusznie wszystko, co mówił. Lecz, kreśląc nad głową syna znak krzyża i całując go krótkim, palącym pocałunkiem, nieustannie kiwała głową i powtarzała bezmyślnie:

— Nie, nie, to nie tak. Nie, nie tak. Nie. Co ja powiem?... Jak ja powiem?... Nie, to nie tak.

— Żegnaj, Sergjuszu — rzekł pułkownik.

Uścisnęli sobie dłonie i zamienili krótki, lecz mocny pocałunek.

— Ty, ojcze... — zaczął Sergjusz.

— Co takiego? — zapytał krótko pułkownik.

— Nie, nie, to nie tak. Jak ja powiem? — powtarzała matka, kiwając głową. Usiadła znowu i chwiała się na wszystkie strony.

— Ty, ojcze... — zaczął znowu Sergjusz. Nagle twarź mu się skrzywiła jak dziecku i oczy zalały się łzami i przez te łzy błyszczące ujrzał twarz ojca z takiemi samemi oczami.

— Ty, ojcze, jesteś szlachetnym człowiekiem.

— Co znowu! Co ty mówisz! — przestraszył się pułkownik i nagle jak podcięty upadł głową na ramię syna. Niegdyś był wyższym od Sergjusza, teraz jednak stał się małym i niziutkim i jego siwa, sucha, puszysta głowa, jak biały kłębuszek leżała na ramieniu syna. I obaj chciwie chwytali ustami i całowali gorąco: ojciec szary kaftan aresztanta, syn siwą głowę ojca.

— A ja? — odezwał się nagle głos jakiś.

Obejrzeli się. To matka stała z głową w tył odrzuconą i patrzyła z gniewem, z nienawiścią nieledwie.

— Co tobie, matko? — krzyknął pułkownik.

— A ja? — powtarzała kobieta z dziką wyrazistością. — Wy się całujecie, a ja? Mężczyźni mocni, a ja?

— Matko! — Sergjusz rzucił się ku niej.

I przyszła taka chwila, o której opowiadać nie należy.

Ostatniemi słowami ojca były te tylko:

— Błogosławię cię na śmierć, Sergjuszu. Umrzyj mężnie, jak przystało na oficera.

I poszli. Poszli jakoś. Byli tutaj, stali, rozmawiali — i nagle poszli. Oto tutaj siedziała matka, tutaj stał ojciec — i poszli.

Po powrocie do celi Sergjusz rzucił się na tapczan twarzą do ściany, aby ukryć się przed wzrokiem żołnierzy, i płakał długo, aż zmęczony zasnął wreszcie głęboko.

Do Wasyla Kaszyrina przyszła tylko matka — ojciec, zamożny kupiec, nie chciał przyjść wcale. Wasyl spotkał staruszkę, spacerując po pokoju i drżąc od zimna, chociaż było nietylko ciepło, ale nawet gorąco. Rozmowa była ciężka i krótka.

— Nie warto było przychodzić, mamo. I siebie zmęczycie i mnie ulgi nie przyniesiecie.

— I na co to było, Wasiu! Pocoś ty to zrobił, mój Boże! — Stara zapłakała, wycierając oczy końcem czarnej wełnianej chustki.

Wasyl stanął i, drżąc z zimna, z przyzwyczajenia, które utarło się w nim i w braciach, krzyknął na matkę:

— Otóż macie! Wiedziałem, że tak będzie! Mama nic nie rozumie! Nic i nigdy!

— No, dobrze, dobrze. Co tobie — zimno?

— Zimno... — mruknął Wasyl i znowu zaczął chodzić, patrząc z boku na matkę.

— Możeś się zaziębił?

— Ach, mamo, co tu mówić o zaziębieniu, kiedy...

Machnął beznadziejnie ręką. Stara chciała mu powiedzieć, że ojciec zadysponował na poniedziałek bliny, lecz zlękła się czegoś i zaczęła wyrzekać:

— Mówiłam mu; przecież to syn, idź, daruj mu. Nie, uparł się stary kozioł...

— A niech idzie do djabła. Co to za ojciec! Całe życie był gałganem i zostanie nim do śmierci.

— Wasiu, przecież to ojciec! — stara wyprostowała się z wymówką.

— Więc co?

— Jak można odzywać się tak o rodzonym ojcu!

— Piękny mi rodzony ojciec.

Wszystko to było dzikie jakieś i bezsensowne. Przed nim stała śmierć, a tuż wyrastało coś małego, pustego, bezużytecznego i czcze wyrazy trzeszczały jak łupina orzecha pod ciężarem stopy. W oczach stanęły mu łzy zmęczenia, wywołanego tem wiecznem niezrozumieniem go, które niby mur stawało zawsze pomiędzy nim i najbliższemi mu istotami i które teraz, w tej ostatniej, przedśmiertnej godzinie, wytrzeszczało swe małe, głupie oczy. Wasyl drgnął i krzyknął nagle:

— Ależ zrozumcie, że mnie powiesić mają! Powiesić! Czyż wy tego nie rozumiecie! Powieszą!

— A pocoś brał się do zabijania ludzi — krzyczała stara.

— Ach Boże, więc cóż to jest! Przecież nawet u zwierząt tego niema. Czy jestem nareszcie, czy nie jestem waszym synem?

Zapłakał mimowoli i usiadł w kącie. Stara płakała również. Bezsilni, niezdolni ani na sekundę zlać

się w uczuciu wzajemnej miłości i przeciwstawić jej okropności zbliżającej się śmierci. Płakali chłodnemi, nie rozgrzewającemi serca łzami samotności. Nareszcie matka rzekła:

— Pytasz się, czy jestem matką, wyrzuty czynisz, a ja przez te kilka dni posiwiałam, zestarzałam się zupełnie. I ty mi jeszcze wyrzuty robisz.

— Dobrze, już dobrze, mamo. Darujcie. Niech mama już idzie. Braci tam proszę pocałować.

— Czy to ja nie jestem matką? Czy mnie serce nie boli?

Nareszcie poszła. Płakała gorzko, ocierając oczy końcami chustki i nie widząc przed sobą drogi. Im dalej odchodziła od więzienia, tem więcej płakała. Zawróciła znowu ku więzieniu, potem zabłądziła w tem mieście, gdzie się urodziła, wychowała i zestarzała. Weszła do jakiegoś samotnego ogródka z kilkoma obłamanemi drzewami i usiadła na mokrej ławeczce. Nagle zrozumiała wszystko: jutro go powieszą.

Kobieta porwała się, chciała biedz, lecz w tej chwili zakręciło się jej w głowie i upadła. Dróżka w ogródku rozmiękła trochę, lecz pomimo to lód był jeszcze pod spodem i było ślizko. Kobieta nie mogła się podnieść; kręciła się, opierała na łokciach i kolanach i przewracała się znowu. Czarna chustka ześlizgnęła się jej z głowy, odkrywając małą łysinkę pośród brudno-siwych pasm włosów; zdawało się jej, że jest na weselu, że Wasia się żeni, a ona piła dużo i upiła się.

— Nie mogę, naprawdę nie mogę — wymawiała się, kręcąc głową i pełznąc po lodowem posłaniu, a jej dolewali wina, dolewali ciągle.

I serce ją boleć poczynało od pijanego śmiechu, od tych poczęstunków, od dzikiego tańca, a wina dolewali jej ciągle. Ciągle dolewali.

6. Godziny idą.

W fortecy, dokąd zamknięto terrorystów, znajdowała się wieża ze staroświeckim zegarem. Co godzinę, co półgodziny, co kwadrans nawet zegar wydzwaniał jakąś melodję tęskną, żałosną, coś co ginęło wolno w powietrzu niby oddalony, żałosny krzyk przelotnego ptactwa.

W dzień dziwna ta i smutna melodja ginęła w gwarze miejskim, w hałasie szerokiej ulicy, która ciągnęła się obok fortecy. Brzęczały wagony tramwajowe, głuchym stukiem odbijały się kopyta końskie i zdaleka ryczały szybkomknące samochody; na ostatki zjechało do miasta mnóstwo wieśniaków i dzwonki ich drobnych wózków napełniały powietrze nieustannym brzęczeniem. I gwar był wielki, wesoły, trochę pijany gwar karnawałowy: z taką świtą przychodziła młoda, wiosenna odwilż i utworzyła na ziemi ciemne kałuże i poczerniła drzewa na skwerach. Od morza leciały szerokie poświsty ciepłego wiatru; zdawało się, że dojrzeć było można drobniutkie, świeże cząsteczki powietrza jak razem, śmiejąc się radośnie, lecą gdzieś w przestrzeń wolną i nieskończoną.

W nocy ulica była cicha w samotnem świetle zimnych słońc elektrycznych. Wtedy forteca, bez je-

dnego światełka na swych płaskich ścianach, kryła się w ciemności i ciszy i od wiecznie żywego i ruchliwego miasta odgradzała się granicą milczenia i posępnej nieruchomości. I wtedy to słychać było bicie zegara; obca wszystkiemu, co ziemskie, dziwna ta melodja rodziła się i umierała na wysokościach. Rodziła się, mamiąc uszy, dźwięczała cicho i żałośnie, urywała się i dźwięczała znowu. I spadały do metalowej, dźwięcznej czaszy godziny i minuty, niby przezroczyste, szklane krople, spadające z jakiejś nieznanej wysokości. Albo leciały smutne przelotne ptaki.

Do cel, w których pojedyńczo siedzieli podsądni, dochodził ten jeden dźwięk tylko. Przenikał dachy, grube kamienne ściany, kołysał się w ciszy i znikał tak nieuchwytnie, jak się zjawiał. Niekiedy zapominano o nim i nie słyszano go wcale; niekiedy oczekiwano go z rozpaczliwą tęsknotą, żyjąc tym dźwiękiem, nie dowierzając już otaczającej ciszy.

Tylko dla ważnych przestępców było takie więzienie i oddzielne w nim były przepisy twarde, zimne i szorstkie jak ściany więzienne i, jeżeli okrucieństwo może być kiedy szlachetnem, to szlachetną była owa głucha, uroczysta, martwa cisza, chwytająca żarłocznie lekkie szwary i lżejsze jeszcze oddechy.

W tej uroczystej ciszy, kołysanej tylko żałosnym dźwiękiem ulatujących minut, pięcioro ludzi samotnych, wyłączonych już z życia, trzech mężczyzn i dwie kobiety, oczekiwało nadejścia nocy, świtu i kaźni. A każde z nich odczuwało to po swojemu i każde po swojemu przygotowywało się do tego.

7. Niema śmierci.

Przez całe swoje życie Tania Kowalczuk myślała zawsze o innych, nigdy o sobie, i teraz też dręczyła się i męczyła za tamtych. Śmierć wyobrażała sobie, jak coś męczącego dla Sergjusza, dla Musi, dla tamtych, jej samej ta śmierć nie dotyczyła wcale.

Wynagradzając sobie całą swoją wstrzemięźliwość na sądzie, płakała teraz całemi godzinami, płakała tak, jak umieją płakać tylko starcy, którzy w życiu wiele smutku przeżyli, lub młodzieńcy o bardzo tkliwem i współczującem sercu.

Sama myśl o tem, że Sergjuszowi może zabraknąć tytoniu, a Wernerowi ulubionej mocnej herbaty, że do tego jeszcze muszą umierać, męczyła ją prawdopodobnie równie silnie, jak myśl o kaźni. Kaźń to rzecz uboczna, nieunikniona, o której myśleć nawet nie warto, ale brak tytoniu lub herbaty, to brak codzienny, dotykalny, nieznośny. We wspomnieniu przebierała, niby złote paciorki, drobne szczegóły ich miłego wspólnego życia i zamierała z żalu na myśl o spotkaniu Sergjusza z rodzicami.

Przedewszystkiem jednak żałowała Musi. Oddawna już podejrzewała, że Musia kochała Wernera

i, choć nie było tô prawdą, marzyła dla nich o czemś dobrem i jasnem. Na wolności Musia nosiła na palcu srebrny pierścionek z trupią główką i piszczelami, otoczonemi cierniową koroną; Tania Kowalczuk patrzyła nieraz na ten pierścionek z uczuciem dziwnego ściśnięcia serca, zdawało się jej, że jestto symbol przeznaczenia dziewczyny i raz żartem, to znowu poważnie prosiła ją o zdjęcie go.

— Ofiaruj go mnie, — prosiła.

— Nie, Taniu, nie dam go. Zresztą i ty niedługo będziesz miała swój pierścionek. Niewiadomo dlaczego, wszyscy pomawiali ją o to, że niedługo wyjdzie zamąż, a ją gniewało to strasznie — ona nie potrzebowała żadnego męża. Teraz na wspomnienie tych żartobliwych rozmów z Musią, na myśl, że spełniło się owo tajemnicze przeznaczenie, łzy ją dławiły i ból macierzyński ściskał jej serce. I za każdym razem, gdy zegar wybijał godziny, podnosiła swoją twarz zapłakaną i myślała jak tam, w tamtych celach, przyjmują to przeciągłe, uporczywe wołanie śmierci.

A Musia była szczęśliwa.

Założywszy ręce za plecy, w zbyt wielkim aresztanckim szlafroku, czyniącym ją dziwnie podobną do młodego chłopca-wyrostka, przebranego w cudze suknie, chodziła po celi krokiem równym i niezmęczonym. Zbyt długie rękawy szlafroka założyła i z tych szerokich otworów wysuwały się jej drobne, nawpół dziecinne, wychudłe ręce, podobne do dwóch delikatnych łodyżek kwiatu, wyglądających z ordynarnego i brudnego dzbana. Twardy i szorstki szlafrok obcie-

rał jej białą, cienką szyję, to też kiedy niekiedy bezwiednym prawie ruchem obu rąk uwalniała gardło i ostrożnie dotykała zaczerwienionej i bolącej skóry.

Musia chodziła i tłomaczyła się przed ludźmi zarumieniona i wzruszona. A tłomaczyła się z tego, że ona, taka młodziutka, taka skromna i cicha, tak bez zasług, bez żadnych bohaterskich czynów, została skazana na taką samą zaszczytną i piękną śmierć, jaka była udziałem tylu prawdziwych bohaterów i męczenników.

Z głęboką wiarą w dobroć ludzkiego serca, w jego litość, wyobrażała sobie, jak teraz myślą o niej, jak boleją, jak żałują jej — i wprost wstydziła się tego zaszczytu, jaki jej wyrządzić mieli. Zdawało się jej, że, umierając na szubienicy, popełnia jakąś niezręczność.

Już podczas ostatniej wizyty prosiła swego obrońcę, aby zdobył dla niej trochę trucizny, lecz cofnęła się nagle: a jeżeli i on i inni pomyślą sobie, że zrobiła to dla pokazania się światu, lub przez tchórzostwo? Że zamiast umrzeć cicho i skromnie chce narobić wrzawy? Przestraszyła się tej możliwości i dodała szybko:

— Zresztą nie trzeba, nie trzeba.

Teraz pragnęła tylko jednego, chciała dowieść ludziom, że wcale nie jest bohaterką, że śmierć nie jest straszną i że nie trzeba ani jej żałować, ani troszczyć się o nią, chciała im wytłomaczyć, że to wcale nie jest jej winą, że ją młodziutką i nic nie znaczącą skazują na śmierć taką i tyle o nią robią wrzawy.

Jak człowiek rzeczywiście oskarżony Musia szukała dla siebie uniewinnienia, starała się znaleźć choć cośkolwiek, co podniosłoby jej ofiarę i nadało jej większą cenę. Rozumowała w ten sposób:

— To prawda, że jestem młoda i mogłabym żyć jeszcze długo. Lecz...

I jak niknie światło świecy wobec blasku wschodzącego słońca, tak nikłemi i ciemnemi wydawały się jej młodość i życie wobec tej wielkiej, promiennej glorji, która miała otoczyć jej skromną głowę. Uniewinnienia niema.

A może będzie niem to, co nosi w piersiach: bezgraniczna gotowość do ofiar i bezgraniczne zapomnienie o sobie?

Przecież to naprawdę nie jej wina, że nie pozwolono jej zrobić wszystkiego, co chciała i mogła,— wszak zabito ją u progu świątyni, u podnóża ofiarnego ołtarza.

Ale jeżeli wartość człowieka mierzy się nietylko jego czynami lecz i jego chęciami i pragnieniami. W takim razie... tak, w takim razie godną jest męczeńskiego wieńca.

— Czyż to jednak być może? — myśli skromnie Musia. — Czyżbym rzeczywiście godną była? Czy naprawdę wartą jestem, aby o mnie się kłopotali, aby ludzie płakali po mnie, tak małej, tak nic nie znaczącej? I niewypowiedziana radość zalewa jej serce. Niema już zwątpień, niema wahań, została przyjęta do grona, ma prawo stawać w rzędzie tych wielkich i świetlanych postaci, które od wieków przez stosy, przez tor-

tury i kaźnie idą ku oddalonemu niebu. Oto świat jasny i spokój i niezgłębione, ciche, jaśniejące szczęście. Zdawało się jej, że odeszła już z ziemi i zbliżyła się do nieznanego słońca prawdy i życia i bezcieleśnie buja w jego przestworach.

— I to ma być śmierć! Jakaż to śmierć? — myśli Musia z błogosławioną rozkoszą. I gdyby w jej celi zebrali się z całego świata wszyscy uczeni, filozofowie, kaci i rozłożyli przed nią księgi, skalpele, topory, stryczki i zaczęli dowodzić, że śmierć istnieje, że człowiek umiera lub zabija się, że nieśmiertelności niema, Musia zdziwiłaby się tylko. W jaki sposób może nie być nieśmiertelności, kiedy ona w tej chwili jest nieśmiertelną? O jakiejże śmierci mówią oni, kiedy ona umarła, jest nieśmiertelną, kiedy żyje w śmierci tak, jak żyła w życiu?

I gdyby nawet do jej celi wniesiono cuchnącą trumnę z resztkami gnijącego jej ciała i powiedziano:

— Patrz, to ty.

Musia spojrzałaby i odpowiedziała spokojnie:

— Nie, to nie ja jestem.

I gdyby nawet dowodzono jej, strasząc wstrętnym widokiem rozkładu, że to ona, napewno ona, Musia uśmiechnęłaby się tylko i odrzekła:

— Nie. To wy myślicie, że to ja jestem, ale to nie ja. Ja jestem tą, z którą mówicie, czyż mogę być tem?

— Ale umrzesz i staniesz się tem.

— Nie, ja nie umrę.

— Powieszą cię. Oto stryczek.

— Tak. Powieszą mnie, ale ja nie umrę. Jak ja mogę umrzeć, kiedy jestem nieśmiertelna?

I ze zdziwieniem odstąpiliby uczeni, filozofowie i kaci i rzekliby:

— Nie dotykajcie tego miejsca. To miejsce święte świętych.

O czem jeszcze rozmyślała Musia? Myślała jeszcze o wielu rzeczach, gdyż dla niej nitka życia nie urywała się wraz ze śmiercią, lecz ciągnęła się dalej równo i spokojnie. Myślała o towarzyszach, o tych dalekich, którzy w bólu i męce przeżywają swoją kaźń, i o tych blizkich, którzy razem wejdą na szafot. Dziwiła się Wasylowi, że się tak bardzo przestraszył — wszak zawsze był odważnym, a nawet igrał ze śmiercią. We wtorek jeszcze, kiedy nakładali na siebie przyrządy wybuchające, które za kilka godzin ich samych zniszczyć miały, ręce Tani Kowalczuk drżały tak silnie, że musiano ją usunąć, a on, Wasyl, żartował, dokazywał, skakał, był tak nieostrożnym, że Werner rzekł surowo:

— Nie należy żartować ze śmiercią.

Czego on się tak zląkł, — myślała Musia.

Strach ten jednak tak był obcym jej duszy, że wkrótce przestała myśleć o nim i odszukiwać jego przyczyn — nagle namiętnie zapragnęła ujrzeć Sergjusza Gołowina i pośmiać się z nim razem. Pomyślała i jeszcze namiętniej zapragnęła zobaczyć Wernera i przekonać go o czemś. I zdawało się jej, że Werner chodzi razem z nią tym swoim równym, mierzonym krokiem, a ona patrzy na niego i mówi:

— Nie, Werner, to wszystko głupstwa, tu nie o to chodzi, czyś ty zabił N., czy nie. Tyś rozumny, ale życie jest dziwnem, jakby grą w szachy: weźmiesz jedną figurę, weźmiesz drugą, otóż i wygrana. A tymczasem tutaj ważnem jest to tylko, że my sami gotowi jesteśmy umrzeć. Rozumiesz? Ci panowie myślą, że niema nic straszniejszego nad śmierć. Sami ją wymyślili i sami nas nią straszą. Wiesz, jabym chciała wyjść przed front całego pułku żołnierzy i strzelać do nich z brauninga. Niech ich będą tysiące, a ja jedna; i ja jedna i ja nikogo nie zabiję. To, widzisz, jest ważne, że ich tysiące. Jeżeli tysiące zabiją jednego, to znaczy, że zwyciężył ten jeden. To prawda, Wernerze kochany.

Było to rzeczywiście tak jasnem, że nie warto było dowodzić, i Werner zrozumiał to już prawdopodobnie; a może tylko myśl jej nie chciała zatrzymywać się na jednym przedmiocie, że bujać chciała jak ptak niebieski, który patrzy na bezbrzeżne horyzonty, dla którego dostępnemi są: i wszystka przestrzeń i wszystka głębia delikatnych, cudnych szafirów. A zegar dzwonił nieustannie, kołysząc ciszę głuchą, i w ten dźwięk daleki i harmonijny wpadały myśli ludzkie i jak on dzwonić zaczynały; i mknące łagodne obrazy myśli stawały się muzyką ducha. I zdawało się Musi, że w cichą, ciemną noc jedzie daleko ku równej drodze i kołyszą ją miękkie resory i janczarki dzwonią przeciągle. Odeszły od niej wszystkie trwogi i wzruszenia i roztopiło się w ciemności zmęczone ciało, a myśl zmęczona tworzyła spokojnie barwne obrazy i upajała

się ich łagodnemi barwami i spokojem. Przypomniała sobie twarze trzech towarzyszów, powieszonych niedawno: były to oblicza jasne, radosne i blizkie, bliższe od tych, co żyją jeszcze. Tak samo myśli człowiek o domu przyjaciół swoich, .dokąd wejdzie wieczorem z pozdrowieniem na uśmiechniętych wargach.

Musia zmęczyła się chodzeniem. Położyła się cichutko na tapczanie i marzyła dalej z zamkniętemi oczyma. Zegar dzwonił nieustannie i w dźwiękach tych spływały ku niej cudnie melodyjne obrazy.

— Czyżby to już śmierć być miała? — myślała Musia. — Boże, jakaż ona piękna! A może to życie? Nie wiem, ja nic nie wiem, będę patrzyła tylko i słuchała. Oddawna już, bo od pierwszych dni więzienia, słuch Musi począł doznawać złudnych jakichś omamień. Nadzwyczaj muzykalny, wyostrzony jeszcze przez otaczającą ciszę, na jej tle z okruchów rzeczywistości, z odgłosu kroków, kręcącej się na korytarzu, warty, z bicia zegara, ze szmeru wiatru, uderzającego o blaszane dachy, ze skrzypienia latarń ulicznych począł tworzyć przepiękne obrazy muzyczne. Z początku Musia lękała się tych wizji, odpędzała je od siebie, biorąc je za wytwór chorobliwej halucynacji, potem zrozumiała, że jest zdrowa, że niema w tem żadnej choroby i spokojnie się im oddawała.

I teraz naprzykład zupełnie jasno i wyraźnie usłyszała dźwięki muzyki wojskowej. Zdziwiona otworzyła oczy i cokolwiek podniosła głowę — przez okna zaglądała noc głucha i tylko zegar wydzwaniał godziny. A więc znowu! — pomyślała Musia i zamknęła oczy.

I jak tylko zacisnęła powieki, muzyka zagrała znowu. Wyraźnie słyszy, jak z za węgła wychodzą żołnierze, cały pułk, i przechodzą pod oknem. Nogi ich w grubych, podkutych butach odmierzają rytmicznie takt na zmarzłej ziemi: raz, dwa! raz, dwa! — słyszy nawet, jak skrzypi nienasmarowana skóra na tych butach, jak od czasu do czasu poślizgnie się i poprawi czyjaś noga. A muzyka zbliża się coraz bardziej i rozlega się wesoły i głośny marsz. Widać w fortecy panuje jakiś świąteczny nastrój. Oto orkiestra przechodzi tuż pod oknem i cała cela przepełnia się wesołymi, rytmicznymi, harmonijnie dobranymi dźwiękami. Jedna tylko trąba, wielka miedziana trąba, fałszuje nieustannie, to się spóźnia, to znowu odzywa się zbyt wcześnie, Musia widzi małego żołnierza z tą wielką trąbą, jak starannie i usilnie dmie w swój instrument, i dziewczyna uśmiecha się wesoło.

Wszystko oddala się powoli. Kroki cichną. Zdaleka muzyka staje się jeszcze ładniejszą i weselszą. Jeszcze raz głośnym, fałszywym lecz radosnym okrzykiem odzywa się trąba i wszystko ginie. I znowu na wieży odzywa się zegar swym smutnym, powolnym dźwiękiem, zaledwie kołyszącym ciszę.

— Poszli, — myśli Musia z łagodnym smutkiem. I żal jej tych dźwięków, które odeszły, takich wesołych i zabawnych; żal tych żołnierzy, gdyż ci z miedzianemi trąbami, ze skrzypiącymi butami na nogach, to inni, to nie ci, do których chciała strzelać z brauninga.

— Jeszcze, o, jeszcze, — prosi łagodnie. I oni przychodzą, pochylają się nad nią, otaczają ją niby obłokiem przezroczystym i unoszą gdzieś w górę, gdzie mkną przelotne ptaki i krzyczą niby heroldowie. Z prawej strony i z lewej, z dołu i z góry krzyczą jak heroldowie, przyzywają, opowiadają i głoszą o dalekim locie swoim. I szeroko rozpościerają skrzydła i machają niemi, a podtrzymuje je ciemność, tak jak je podtrzymuje światło, i na wypukłe piersi, przecinające powietrze, pada z dołu niebieskawy blask jaśniejącego miasta. Serce bije coraz równiej, oddech Musi staje się coraz cichszym. Zasypia. Twarz jej jest blada i zmęczona; pod oczami wybiły się ciemne koła i drżą drobne ręce dziewicze, ale usta uśmiechają się błogo. Jutro, kiedy słońce rzuci pierwsze promienie swoje, ta cicha twarz ludzka wykrzywi się nieludzkim grymasem, krew zgęszczona zaleje mózg, a szkliste oczy wyjdą ze swoich orbit — dziś jednak Musia śpi cicho i uśmiecha się, potężna w nieśmiertelności swojej. Musia śpi, a w więzieniu drga dalej życie więzienne głuche, a wrażliwe, ślepe, a bystre jak wieczysta, nieustająca trwoga. Oto gdzieś ktoś chodzi, ktoś szepcze, gdzieś stuknął karabin, ktoś, zdaje się, krzyknął. I nie wiadomo, czy było tak rzeczywiście, czy też są to tylko mamidła ciszy.

Oto cichutko otworzyło się okienko i w ciemnym otworze ukazuje się jakaś twarz wąsata. Długo, z niewypowiedzianem zdumieniem wytrzeszcza na śpiącą swoje oczy i znika tak samo cicho, jak się zjawiła.

A kuranty dzwonią i śpiewają długo, aż do znużenia. Zda się, że to zmęczone godziny wloką się na górę wysoką ku północy, a góra coraz wyższa i coraz trudniej wdzierać się na nią; spadają więc, ślizgają się, z jękiem toczą się na dół i znowu z natężeniem wdzierają się na swój czarny wierzchołek.

Ktoś chodzi. Ktoś szepcze. Oto zaprzęgają już konie do czarnych karet bez latarni.

8. Jest śmierć, lecz jest i życie.

Sergjusz Gołowin nigdy nie myślał o śmierci, jakgdyby ta sprawa była mu obojętną i nie tyczyła go się najzupełniej. Był to zdrowy, wesoły młodzieniec, obdarzony wrodzonym instynktem życia, który sprawiał, że każda myśl szkodliwa dla tego życia, każde wrogie mu uczucie niknęło szybko i bez śladu. Wszystkie rany, zadrapania lub ukłucia goiły mu się nadzwyczaj łatwo, tak samo wszystko, co mu raniło lub gniotło duszę, mimowoli wydobywało się nazewnątrz i ulatniało szybko. Zarówno do każdej pracy, jak i do zabawy, czy to była fotografja, czy welocyped, czy przygotowanie do terrorystycznego zamachu, wnosił z sobą tę żywiołową radość życia, bo wszak wszystko w życiu powinno być radością, wszystko jednakowo ważnem i wszystko jednakowo robionem dobrze.

Wszystko też, rzeczywiście, robił dobrze: doskonale wiosłował, znakomicie strzelał z rewolweru, stałym był w uczuciach miłości i przyjaźni i fanatycznie prawie wierzył w „słowo honoru". Ci, co go dobrze znali, śmiali się nieraz, że gdyby najpospolitszy ajent, szpieg znany i uznany dał mu słowo honoru, że nie

jest szpiegiem, Sergjusz uwierzyłby mu napewno i po przyjacielsku uścisnął rękę.

Jedną miał tylko słabostkę: zdawało mu się, że śpiewał pięknie, chociaż słuchu nie miał za grosz, głos miał fatalny i fałszował ohydnie wszystkie pieśni rewolucyjne. Gniewał się jednak i obrażał, jeśli śmiano się z jego artystycznych aspiracji.

— Albo wy jesteście osłami, albo ja, — mówił poważnie i gniewnie.

I wszyscy po chwilowym namyśle odpowiadali równie poważnie:

— To ty jesteś osioł, po głosie poznać można.

Śmiesznostkę tę jednak wybaczano mu chętnie i kochano go może więcej za nią niż za jego zalety. Bywa tak często pomiędzy dobrymi ludźmi.

Śmierci nie bał się i nie myślał o niej wcale. W ów krwawy poranek, kiedy to miano spełnić zamach, przed wyjściem z mieszkania Tani Kowalczuk on jeden zjadł śniadanie z apetytem: wypił dwie szklanki herbaty z mlekiem i spałaszował dużą, dziesięciogroszową bułkę. Potem spojrzał tęsknie na nienaruszony chleb Wernera i rzekł:

— Dlaczego nie jesz? Jedz, powinniśmy się posilić.

— Nie chce mi się.

— To ja zjem za ciebie. Dobrze?

— Dobry masz apetyt, Sergjuszu.

Zamiast odpowiedzi Gołowin z pełnemi ustami chleba zaśpiewał mu fałszywie:

— Przeciwne wichry wieją nad nami...

Po zaaresztowaniu ogromnie się zasmucił i zmartwił: „zrobiliśmy źle i dlatego przepadliśmy“, — pomyślał. Pocieszał się jednak tem, że jest jeszcze coś innego, co należy zrobić dobrze, a mianowicie — umrzeć z honorem. Poweselał znacznie. Już na drugi dzień swego zamknięcia w fortecy zaczął z zapałem uprawiać gimnastykę podług racjonalnego systemu jakiegoś niemca Müllera, którym zachwycał się niepomiernie. Rozbierał się do naga i ku zdziwieniu przyglądającego mu się wartownika wykonywał dokładnie wszystkie osiemnaście przepisanych ćwiczeń. Przyglądanie się i zdziwienie wartownika było mu bardzo miłem i jako propagatora systemu Müllera cieszyło go formalnie. Chociaż wiedział, że nie otrzyma odpowiedzi, nie mógł się raz powstrzymać i rzekł do sterczącego w okienku oka:

— To bardzo pożyteczne, mój bracie, ogromnie wzmacnia. Należałoby i u was w pułku wprowadzić coś podobnego.

Powiedział to łagodnie, aby nie przestraszyć żołnierza, tonem poważnie przekonywającym, nie przypuszczając nawet, że żołnierz uważa go wprost za warjata.

Obawa śmierci zaczęła pojawiać się w nim stopniowo, jakby jakiemiś nutami: zupełnie tak jakby ktoś zgoła pchnął go w serce. Więcej bólu, niż strachu. Potem wrażenie przechodziło i zapominał o niem i w kilka godzin powtarzało się znowu. Za każdym jednak razem stawało się dłuższem i silniejszem i po

pewnym czasie poczęło przybierać określone zarysy jakiegoś wielkiego, gnębiącego strachu.

— Czyżbym się bał? — pomyślał Sergjusz zdumiony. — Jeszcze czego!

Bał się nie on, bało się jego młode, zdrowe, silne ciało, którego nie mógł oszukać ani gimnastyką Müllera, ani zimnemi nacieraniami. Im stawało się silniejszem, im świeższem było pod wpływem zimnej wody, tem ostrzejszemi i trudniejszemi do zniesienia stawały się owe przelotne wrażenia strachu. Szczególniej kiedy rano, po wyspaniu się i odrobieniu przepisanych gimnastycznych ćwiczeń, uczuwał silniejszy przypływ sił żywotnych, nagle zjawiał się ów strach obcy i ostry. Sergjusz zauważył to i pomyślał:

— To głupio, kochanku. Aby tamto zniknęło, należy to osłabiać, a nie wzmacniać. Inaczej głupio. Zarzucił i gimnastykę i nacierania, a do żołnierza rzekł w formie usprawiedliwienia:

— Nie dziw się, że zarzuciłem gimnastykę. Jest to, bracie, rzecz bardzo dobra; dla tych, kogo mają powiesić, nieodpowiednia, ale dla wszystkich innych ludzi bardzo dobra.

Rzeczywiście, zrobiło mu się lżej trochę. Spróbował również mniej jadać, aby osłabnąć jeszcze bardziej, nie mógł sobie jednak dać rady, gdyż, pomimo braku powietrza i ćwiczeń müllerowskich, apetyt miał nieustannie tak dobry, że zjadał wszystko, co mu przynoszono — nie mógł się powstrzymać. Wtedy wziął się na sposób: zanim zaczął jeść, wylewał połowę

obiadu do kubła; to pomogło nieco: zjawiła się senność i wycieńczenie.

— Ja ci pokażę! — groził Sergjusz ciału, a jednocześnie z jakąś łagodną pieszczotą głaskał swoje jakby zwiędłe i miękkie muskuły.

Wkrótce jednak ciało przyzwyczaiło się i do tych nowych warunków i strach śmierci pojawił się znowu, wprawdzie nie taki ostry, nie taki ognisty jak przedtem, lecz za to dziwnie drżący w piersiach, podobny do mdłości. — To dlatego, że przetrzymują tak długo, — myślał, — dobrze by było, gdyby można przespać cały ten czas do kaźni — i starał się spać jaknajwięcej. Z początku udawało mu się to, po pewnym czasie jednak, czy to wskutek zbytku snu, czy też z jakiejś innej przyczyny zjawiła się bezsenność, a z nią ostre, bolące myśli i tęsknota za życiem.

— Czyżbym ja się bał tego szatana? — myślał o śmierci. — Mnie żal tylko życia. Niech tam pessymiści mówią, co chcą, ale życie to wspaniała rzecz. Ciekawym, coby powiedział pessymista, gdyby go tak powiesić miano. Szkoda życia, wielka szkoda. I poco mi broda urosła? Nie mogłem się jej doczekać, aż tu nagle urosła. I poco? — Kiwał smutnie głową i wzdychał długiem, ciężkiem westchnieniem. Milczał i wzdychał, znowo milczał i znowu wzdychał ciężko i długo.

Ciągnęło się to aż do sprawy i do ostatniego widzenia się z rodzicami. Kiedy nareszcie obudził się z jasnem poczuciem, że wszystko się już skończyło, że pozostaje mu tylko kilka godzin długiego, pustego oczekiwania, a potem śmierć, zrobiło mu się jakoś

dziwnie. Zdawało mu się, że go ograbiono ze wszystkiego, że zabrano mu nietylko ubranie, ale słońce i powietrze, gwar i światło, czyny i słowa. Nie było jeszcze śmierci, ale nie było już życia, a wzamian coś nowego, strasznie niezrozumiałego, jakby zupełnie pozbawionego sensu, lub może mającego sens, lecz tak głęboki, taki tajemniczy, tak nieczłowieczy, że zrozumienie go stawało się niepodobieństwem. Tfu, do licha! — mówił wśród jakiegoś męczącego zdziwienia Sergjusz. — Co to jest? Gdzież ja jestem? Ja... co za ja?

Obejrzał siebie z zajęciem, uważnie, zaczynając od wielkich więziennych pantofli, a kończąc na brzuchu, na którym szlafrok odymał się cokolwiek. Zaczął chodzić po celi z rozczapierzonymi palcami, oglądając siebie nieustannie, jak kobieta, która włożyła nową, zbyt długą na nią suknię. Poruszył instynktownie głową — rusza się, jest na swojem miejscu. A jednak to coś tak dziwne i cokolwiek straszne, to on, on sam, Sergjusz Gołowin, — a wkrótce tego czegoś nie stanie.

I wszystko zaczęło go dziwić.

Zaczął chodzić po celi i dziwił się, że chodzi, usiadł — dziwił się, że siedzi, sprobował napić się wody i dziwił się, że pije, że łyka, że trzyma kubek, że ma palce, które drżą. Zachłysnął się i zakaszlał i natychmiast zdziwił się, że kaszle.

— Zdaje mi się, że tracę zmysły, — pomyślał Sergjusz, drętwiejąc. — Tegoby tylko brakowało! Żeby ich djabli wzięli!

Potarł czoło ręką, lecz i to było dziwnem. Wtedy, nie oddychając, zda się całemi godzinami, zamierał w nieruchomości, unikając najmniejszego nawet poruszenia, starając się oddychać jaknajciszej, nie myśleć wcale, gdyż każde poruszenie było szaleństwem i myśl każda była szaleństwem. Czas przestał istnieć i zamienił się w jakąś przezroczystą przestrzeń bezpowietrzną, w jakiś plac olbrzymi, na którym było wszystko, i ziemia, i ludzie, i życie samo: i wszystko to objąć można jednem spojrzeniem, wszystko aż do końca, aż do tajemniczej przepaści śmierci. I męka polegała nie na tem, że widać śmierć, lecz na tem, że jednocześnie widać śmierć i życie. Świętokradcza dłoń zerwała zasłonę, kryjącą od wieków tajemnicę życia i tajemnicę śmierci, które przestały być tajemnicą, lecz nie stały się przez to bardziej zrozumiałemi, jak prawda, napisana nieznanym językiem. Jego ludzki mózg nie miał takich pojęć, jego ludzki język słów takich, które mogłyby określić to, co widział. Wyrazy „boję się“ dźwięczały w nim nieustannie, a dźwięczały tylko dlatego, że nie było innych słów i innych pojęć, któreby odpowiadały temu nowemu i nieczłowieczemu wrażeniu. To samo musiałby odczuwać człowiek, gdyby, znajdując się jeszcze w ciasnych ramach swych ludzkich pojęć i poczuć, ujrzał nagle samego Boga — ujrzał i nie pojął, pomimo iż wiedziałby, że to nazywa się „Bóg“, i zadrgałby niesłychanym bólem straszliwego niezrozumienia.

— Widzisz, masz swego Müllera! — rzekł nagle głośno, z nadzwyczajną wyrazistością i kiwnął głową.

A potem z tą nagłą zmiennością wrażeń, do której zdolną jest dusza ludzka, zaśmiał się szczerze i wesoło.

— Ach ty, Müllerze, ty kochany Müllerze, ty mój śliczny namiestniku, ty masz rację, a ze mnie, braciszku, patentowany osioł!

Przebiegł kilka razy swoją celę i ku wielkiemu zdumieniu wartownika rozebrał się do naga i wesoło, z nadzwyczajną starannością odrobił wszystkie osiemnaście ćwiczeń; kurczył i wyciągał młode, cokolwiek wychudzone ciało, przysiadał, wdychał i wydychał powietrze, stając na palcach, wyprężał nogi i ręce. A po każdem ćwiczeniu mówił z zadowoleniem:

— Tak, tak. Tak właśnie trzeba, bracie Müller!

Policzki mu się zarumieniły; ze wszystkich porów ciała wystąpiły kropelki gorącego, przyjemnego potu, a serce biło mocno i równo.

— Tak, kochanku, — rozumował Gołowin, wydymając piersi; pod cienką, naciągniętą skórą wyraźnie zarysowały się żebra, — rzecz w tem, że jest jeszcze dziewiętnaste ćwiczenie, a mianowicie zawiśnięcie za szyję, dopóki się nie umrze. Niema to sensu, Müllerze, ale nic na to nie poradzisz — zdarza się.

Przegiął się na prawy bok i powtórzył:

— Tak, zdarza się, bracie Müller.

9. Straszna samotność.

Oddzielony od Musi i Sergjusza kilkoma pustemi celami, lecz tak bezbrzeżnie samotny, jakby na całym świecie sam jeden był tylko, przy dźwięku tego samego zegara, w nieustającej męce i przerażeniu kończył życie swoje nieszczęśliwy Wasyl Kaszyrin.

Spocony, w mokrej, przylepionej do ciała koszuli, z wyprostowanymi, niegdyś kręconymi włosami, rzucał się w beznadziejnej rozpaczy, jak człowiek cierpiący na straszliwy nie do zniesienia ból zębów. To siadał na chwilę, to zrywał się znowu i biegał po celi, przyciskał czoło do ścian chłodnych, lub toczył wzrokiem dokoła, jakby szukając lekarstwa. Zmienił się tak bardzo, jakby posiadał dwie twarze, z których jedna, ta dawna, młoda odeszła gdzieś daleko, a na jej miejsce zjawiła się nowa, straszna, co wyłoniła się z najtajniejszych głębin ciemności.

Strach śmierci przyszedł do niego nagle, opanował go niepodzielnie z jakąś potępieńczą siłą. Jeszcze rano, idąc na śmierć pewną, śmiał się i żartował, a wieczorem już, zamknięty w samotnej celi, upadł pod napływem szalonej fali dzikiego strachu. Dopóki sam z własnej woli narażał się na niebezpieczeństwo,

dopóki trzymał tę śmierć, choćby najstraszniejszą, we własnych dłoniach, dotąd czuł się lekkim, a nawet wesołym: wobec poczucia bezgranicznej swobody, śmiałego postanowienia i własnej, mocnej woli znikał bez śladu ów drobny, pomarszczony nieledwie starczy straszak.

Przepasany piekielnym przyrządem, sam on zdawał się zamieniać w jakąś maszynę piekielną, tyle wchłonął w siebie okrucieństwa dynamitu, tyle przyswoił jego śmiercionośnej mocy ogniowej. Idąc przez ulice, pełne codziennych, niespokojnych, zakłopotanych swojemi sprawami, ludzi, uciekających przed końmi dorożek i tramwajów, sam sobie wydawał się przybyszem z jakiegoś nieznanego globu, gdzie niema ani śmierci ani strachu.

I jaka nagła, dzika, oszołomiająca zmiana! Już nie idzie, dokąd sam chce, lecz jego wiozą, dokąd chcą. Nie on wybiera sobie miejsce, lecz jego wsadzają do klatki kamiennej i na klucz zamykają. I odbierają mu prawo wyboru życia lub śmierci, jakie posiada każdy przeciętny człowiek, i sami własną swoją siłą śmierć mu narzucają z góry. Przed chwilą jeszcze żywy, wolny i silny staje się nagle marną, bezwolną istotą, zwierzęciem, oczekującem rzezi, milczącą rzeczą, którą można przestawiać, palić, łamać. Cokolwiekby mówił, słów jego słuchać nie będą; jeśli krzyczeć zacznie, usta mu zakneblują gałganami, a jeśli nie zechce przebierać nogami, to go pociągną i powieszą; i choćby walczył jak lew, choćby rzucił się na ziemię i trzymał się jej wszelkiemi siłami, to jednak będą

silniejsi, oderwą go od ziemi, skrępują i skrępowanego poniosą pod szubienicę. I to właśnie, że tę maszynową robotę spełniają podobni do niego ludzie, nadaje im w jego oczach ten nowy, złowieszczy wygląd jakichś widm złudnych, czegoś, co zjawiło się tylko umyślnie, jakichś martwych lalek na sprężynach, które za nakręceniem potrafią chwytać, prowadzić, wieszać, pociągać za nogi, obcinać sznurek, kłaść, wieźć i zakopywać.

I od pierwszej chwili więzienia życie i ludzie stali się dla niego jakimś okropnym światem widm i automatycznych lalek. Oszalały nieledwie ze strachu, starał się wyobrazić sobie, że ludzie mają swój język, że mówią — i nie mógł; starał się przypomnieć ich mowę, sens wyrazów, których używają w stosunkach ze sobą — i nie mógł. Dla niego otwarte ich usta były nieme; coś, zdaje się, brzęczy, coś słychać, lecz oto rozchodzą się, przebierając nogami, i znowu cisza i pustka.

Tak samo prawdopodobnie czułby się człowiek, gdyby w nocy podczas ciszy i samotności ożyły nagle wszystkie przedmioty, zaczęły się ruszać i zdobyły nad nim nieograniczoną władzę. I nagle zaczęłyby go sądzić szafy, stoły, biurka i kanapy. Wszak prosiłby i błagał i rzucałby się przerażony i wzywał pomocy, a one mówiłyby coś ze sobą, czegoby nie rozumiał, a potem poprowadziłyby go na szubienicę te same szafy, stoły, biurka i kanapy, a inne rzeczy przypatrywałyby się temu. I wszystko wydało się Wasylowi Kaszyrinowi, skazanemu na śmierć przestępcy, niby dziecinną zabawką: i jego cela, i drzwi z okien-

kiem, i dźwięk nakręconego zegara, i forteca z jej lepionymi murami a przedewszystkiem ta martwa lalka z karabinem, która tupie nogami na korytarzu, i te inne, które dla postrachu zaglądają do niego przez okienko i w milczeniu podają jadło. To, czego doświadczał, nie było właściwie strachem śmierci; nie, on pragnął jej raczej; wszak przy całej swej odwiecznej zagadkowości, tajemniczości była ona o wiele zrozumialszą dla jego mózgu niż ten dziki i fantastyczny świat. I w tym dziwacznym świecie widm i lalek śmierć sama karlała jakoś, traciła swoją potęgę i zagadkowość, stawała się czemś materjalnem, automatycznem i może jeszcze straszniejszem przez to. Ot, biorą, wiodą, chwytają, wieszają, pociągają za nogi, obcinają sznurek, kładą, wiozą, zakopują i... zniknęła z powierzchni ziemi jedna więcej istota ludzka.

W sądzie obecność towarzyszów podziałała na niego orzeźwiająco; na sekundę zrozumiał, że widzi wkoło siebie ludzi, którzy siedzą i sądzą go i mówią coś ludzkim językiem i słuchają siebie i rozumieją; lecz już podczas ostatniej rozmowy z matką poczuł z przerażeniem tracącego rozum i odczuwającego to człowieka, że i ta stara kobieta w czarnej chustce na głowie — to lalka z gatunku tych, co mówią „papa“ i „mama“, cokolwiek może lepiej tylko odrobiona. Zmuszał się do rozmowy z nią i jednocześnie, wzdrygając się wewnętrznie, myślał:

— Boże mój, przecież to lalka, lalka — maska. Za drzwiami stoi lalka-żołnierz, tam, w domu siedzi lalka-ojciec, a tutaj, w celi, lalka-Wasyl Kaszyrin.

Zdawało mu się, że za chwilę usłyszy trzeszczenie mechanizmu, lub zgrzyt nienasmarowanych kółek. Kiedy matka zaczęła płakać, na mgnienie dojrzał w jej twarzy coś ludzkiego, lecz przy pierwszych wyrazach to coś zniknęło, a on z przerażeniem i ciekawością patrzył, że z oczu lalki płynie woda. Potem już w samotnej celi swojej, kiedy strach stał się niemożliwym do zniesienia, Wasyl Kaszyrin spróbował modlitwy. Ale wszystko, co go otaczało w młodości, a co w jego rodzicielskim, typowo kupieckim domu nazywano religją, pozostawiło mu w duszy dziwny, drażniąco-gorzki smak, — wiary w tem nie było. Kiedyś jednak w dzieciństwie jeszcze usłyszał wyrazy, które wtedy już zrobiły na nim dziwnie wzruszające wrażenie i pozostały w pamięci, otoczone urokiem smętnej poezji. Były to wyrazy: „Pocieszycielko dusz strapionych“.

Od tego czasu, we wszystkich ciężkich chwilach życia, Wasyl nawpół świadomie, bez modlitwy, bez określonego celu, szeptał cicho: „pocieszycielko dusz strapionych“ i od tych wyrazów szła ku niemu ulga i ukojenie, aż pragnął biedz do kogoś miłego i skarżyć mu się cicho:

— Nasze życie... czyż to jest życie! Powiedz ty mi, kochanie ty moje, czy to jest życie?

A potem nagle wstyd go jakiś ogarniał i chciało mu się i włosy targać i wyrzucać kolanami i podstawiać piersi pod czyjeś pięści, wołając: masz, bij!

Nikomu, nawet najbliższym z towarzyszów, Wasyl nie wspominał wcale o tej swojej „pocieszycielce dusz strapionych“, zdawało się, że sam nie wiedział

o niej, tak głęboko kryła mu się w duszy, i wspominał też o niej rzadko i ostrożnie.

Teraz, kiedy strach przed stojącą przed nim nieodgadnioną tajemnicą pokrył go całego, niby fala nadbrzeżne łozy — Wasyl zapragnął modlitwy. Chciał uklęknąć, lecz wstydził się stojącego na warcie żołnierza, więc skrzyżował tylko ręce na piersi i szepnął cicho:

— Pocieszycielko dusz strapionych!

I z niewymowną tęsknotą powtórzył raz jeszcze:

— Pocieszycielko dusz strapionych, zejdź ku mnie, dodaj siły Waśce Kaszyrinowi!

Dawno już, jeszcze na pierwszym kursie uniwersytetu przed poznaniem się z Wernerem i wstąpieniem do organizacji, zaczął cokolwiek hulać, i w chwilach podniecenia nazywał sam siebie z odcieniem pewnej dumnej litości Waśką Kaszyrinem. Ta sama nazwa i teraz bezwiednie prawie z ust mu się wymknęła. Lecz martwo zadźwięczały wyrazy i nie wywołały upragnionego echa.

— Pocieszycielko dusz strapionych!

Coś zakołysało się leciutko, jakby czyjeś tęskne, świetlane oblicze zdala przepłynęło w przestrzeni i zgasło, nie rozjaśniwszy przedśmiertnej ciemni. Zegar na wieży wybijał monotonnie godziny. Na korytarzu żołnierz brzęknął szablą, czy karabinem i głośno, z przestankami ziewnął.

— Ty milczysz, o pocieszycielko dusz strapionych. Ty nic nie chcesz powiedzieć Waśce Kaszyrinowi!

Uśmiechał się tęsknie i czekał. Lecz pusto było i w duszy i wkoło niego i nie wracało słodkie, tęskne oblicze. Za to męczyć go poczęły niepotrzebnie wspomnienia zapalonych woskowych świec, i popa w kapie, i malowanych na ścianie obrazów, i ojca, który modlił się, kiwając, i żarliwie bił pokłony i zpodełba patrzył na niego, czy modli się również, czy nie zajmuje się figlami. I zrobiło mu się jeszcze okropniej, niż przed modlitwą.

Zniknęło wszystko.

Tylko szaleństwo podpełzało coraz bliżej, tylko świadomość gasła jak stos rozrzucony i ziębła jak trup świeżo zmarłego człowieka, którego serce ciepłem jest jeszcze, choć ręce i nogi skostniały. Jeszcze raz buchnęła krwawą świadomością myśl gasnąca i powiedziała mu, że on, Wasyl Kaszyrin, może oszaleć tutaj, może odczuć takie męczarnie, dla których nawet nazwy niema, może dojść do takiego bólu i cierpienia, do jakiego nie dochodziła jeszcze żadna istota ludzka. Że będzie tłuc głową o ścianę, własnymi palcami wyłupi sobie oczy, będzie wołać i krzyczeć, co mu się podoba, i przekonywać ze łzami, że więcej wytrzymać nie może... i nic. I będzie nic.

I to nie przyszło. Nogi, które żyją własnem swojem poczuciem, chodziły dalej i nosiły drżące, mokre ciało. Ręce, które żyją własnem swojem poczuciem, napróżno starały się zapiąć rozchodzący się na piersiach szlafrok i zagrzać drżące, mokre ciało. Ciało ziębło i drżało. Oczy patrzyły. Był to już prawie umarły spokój, było to nic.

A jednak przyszła jeszcze jedna okropna chwila straszliwego przerażenia. Była to chwila, kiedy ludzie weszli do jego celi. Wasyl nie pomyślał nawet, że to ma znaczyć, iż czas jechać na kaźń, poprostu tylko zobaczył ludzi i przestraszył się po dziecinnemu.

— Już nie będę! Już nie będę! — szeptał niedosłyszalnie zmartwiałemi wargami i bezwiednie odsuwał się w głąb celi, tak jak w dzieciństwie odsuwał się mimowolnie, kiedy ojciec podnosił na niego rękę.

— Trzeba jechać.

Coś mówią wkoło niego, chodzą, coś podają. Zamknął oczy, zachwiał się i z trudem zaczął się zabierać. Widocznie jednak przytomność wracać mu poczęła, bo nagle poprosił jednego z urzędników o papierosa, a tamten uprzejmie otworzył srebrną papierośnicę z dekadenckim obrazkiem na jednej stronie.

10. Mury się walą.

Nieznany z prawdziwego nazwiska, Werner, był człowiekiem zmęczonym życiem i walką. W swoim czasie lubił to życie, lubił teatr, literaturę, towarzystwo; obdarzony z natury doskonałą pamięcią i niezmiernie silną wolą, nauczył się znakomicie kilku europejskich języków i mógł równie dobrze uchodzić za niemca, jak za francuza lub anglika. Po niemiecku mówił zwykle z akcentem bawarskim, w razie jednak potrzeby szeplenił miękko jak prawdziwy berlińczyk. Ubierał się elegancko, ruchy miał wytworne i sam jeden może z całej organizacji mógł bywać na wielkoświatowych balach bez ryzyka, że zostanie poznanym.

Oddawna jednak w duszy jego, niedostrzeżona przez towarzyszów, dojrzewała chłodna pogarda dla ludzi, a była w niej i rozpacz i gniotące, śmiertelne jakieś zmęczenie.

Z natury swojej matematyk raczej niż poeta, nie znał dotychczas ani natchnień ani ekstaz i chwilami uważał sam siebie za szaleńca, który w kałużach krwi ludzkiej szuka kwadratury koła. Wróg, z którym walczył codziennie, nie mógł go natchnąć szacunkiem dla siebie; była to bezbrzeżna sieć głupoty, zdrady i fał-

szu, brudnych harknięć i nikczemnych oszustw. Ostatnim czynem, który zniweczył w nim pragnienie życia, było zabójstwo prowokatora, zabójstwo, które spełnił na rozkaz stowarzyszenia. Zabił z rozmysłem i spokojnie, ujrzawszy jednak tę martwą, obłudną, lecz teraz spokojną i budzącą mimowolną litość twarz ludzką, przestał nagle szanować i siebie i swoje dzieło. Nie dlatego jednak, iżby miał poczuć jakąś skruchę, ot poprostu przestał cenić siebie samego, stał się dla siebie nieciekawym, nudnym, obcym i obojętnym. Jako jedyny człowiek o skupionej woli, nie mógł opuścić szeregów organizacji i napozór nic się w nim nie zmieniło, tylko w oczach pojawił mu się nieznany przedtem chłód z odrobiną bezwiednego niepokoju. Nikomu jednak nic nie powiedział.

Posiadał on jeszcze jedną właściwość niezmiernie rzadką: jak są ludzie, którzy nie zaznali nigdy bólu głowy, tak on nigdy nie zaznał strachu. Jeśli inni wykazywali obawę, patrzył na to bez potępienia, lecz i bez współczucia, jak na jakąś pospolitą chorobę, na którą sam jednak nie chorował nigdy. Współtowarzyszów swoich, a szczególniej Kaszyrina, żałował bardzo, lecz był to rodzaj jakiejś urzędowej litości, którą prawdopodobnie odczuwali i niektórzy z sędziów.

Werner rozumiał, że kara śmierci jest czemś innem niż śmierć poprostu. Postanowił jednak spotkać ją spokojnie, jak coś obcego, i żyć do samego końca tak, jakby nic nie zaszło i nic zajść nie miało. Tylko w ten sposób mógł okazać swoją pogardę dla kaźni i utrzymać swobodę ducha. Podczas rozpraw sądo-

wych — w coś podobnego nie uwierzyliby nawet jego współtowarzysze, chociaż znali dokładnie jego nieustraszoność i pychę — Werner myślał nie o życiu lub śmierci, lecz w skupieniu, z głęboką i spokojną uwagą rozgrywał w myśli jakąś trudną partję szachów. Znakomity szachista od pierwszych dni więzienia rozpoczął tę partję i ciągnął ją coraz dalej. Nawet wyrok, skazujący go na śmierć, nie poruszył niepotrzebnie ani jednej figury na niewidzialnej szachownicy.

Nawet to, że prawdopodobnie nie będzie miał czasu dokończyć zaczętej partji, nie powstrzymało go od niej; ostatni dzień swój na ziemi zaczął od tego, że poprawił jedno wczorajsze, niezbyt trafne poruszenie. Wcisnąwszy między kolana złożone ręce, siedział nieruchomo, potem wstał i w zamyśleniu zaczął chodzić po celi. Chód miał oryginalny: przy chodzeniu pochylał się naprzód i silnie uderzał obcasami, tak że nawet na suchej ziemi kroki jego zostawiały głębokie i wyraźne ślady. Cichutko, samym tylko oddechem, pogwizdywał sobie jakąś włoską arjetkę — gdyż to ułatwiało myślenie. Tym razem jednak nic mu się nie udawało. Z nieprzyjemnem uczuciem popełnionego jakiegoś wielkiego błędu powracał do gry i sprawdzał ją od początku. Błędu nie było, a jednak jego poczucie nietylko nie niknęło, lecz stawało się coraz silniejszem i bardziej drażniącem. Wtem nagle stanęła przed nim myśl obrażająca, czy nie w tem właśnie tkwi błąd, że grą w szachy stara się odwrócić uwagę kaźni, odgrodzić się od owego strachu śmierci, którego podobno żaden podsądny uniknąć nie może

— Nie, dlaczego? — odrzekł chłodno własnej swej myśli i spokojnie odłożył niewidzialną szachownicę. Z tą samą skupioną uwagą starał się teraz zdać sobie sprawę z okropności swego położenia: rozejrzał się po celi, starając się nie opuścić niczego, policzył pozostające mu godziny życia, przedstawił sobie przybliżony i dość dokładny obraz samej kaźni i wzruszył ramionami.

— I cóż? — odrzekł komuś półpytaniem.

Ot i wszystko. Gdzież jest strach?

Nie bał się rzeczywiście. I nietylko się nie bał, lecz w piersi budziło mu się coś, co było jakby przeciwstawieniem strachu, — uczucie jakiejś śmiałej, olbrzymiej radości. I ów błąd niewykryty nie budził już ani gniewu, ani rozdrażnienia, lecz głośno mówił o czemś dobrem i niespodziewanem zupełnie. Było mu tak, jakby myślał, że umarł ukochany brat i przyjaciel i okazało się, że przyjaciel ów żyje i uśmiecha się do niego.

Werner wzruszył znowu ramionami i pomacał puls: serce biło dość szybko, lecz mocno i równo, z jakąś harmonijną siłą. Jeszcze raz rozejrzał się uważnie, jak ktoś, co po raz pierwszy znajduje się w więzieniu, obejrzał uważnie ściany, rygle, przymocowany do podłogi, stołek i pomyślał:

— Dlaczego czuję się takim lekkim, zadowolonym i wolnym? Przedewszystkiem wolnym. Gdy pomyślę o jutrzejszej kaźni, to zdaje mi się, że niema jej wcale. Gdy spojrzę na mury, zdaje mi się, że i ścian niema. Czuję się tak wolnym, jakbym nie sie-

dział w więzieniu, lecz przed chwilą opuścił właśnie więzienną celę, w której przesiedziałem całe życie. Co to ma znaczyć?

Ręce mu drżeć poczynały. Było to zjawisko, nieznane dotychczas Wernerowi. Myśli skakały przed nim w dzikiem opętaniu. Jakieś ogniste języki zapalały mu się w głowie, a płomień ich wydobywał się na wierzch, aby oświetlić ciemną noc daleką. I oto wydobył się nazewnątrz i zajaśniała światłem ciemna noc daleka.

Zniknęło owo duszne zmęczenie, które przez dwa ostatnie lata tak bardzo gnębiło Wernera, i odpadł mu od serca ściskający je ciężki, martwy wąż z zamkniętemi oczyma i zwartą paszczą, — przed śmiercią powracała do niego cudna, igrająca młodość. A jednak było to więcej, niż piękna młodość. Z tem nadzwyczajnem jasnowidzeniem duszy, które w rzadkich tylko chwilach staje się własnością człowieka, lecz wtedy podnosi go na najwyższe szczyty przenikania wszechrzeczy, Werner ujrzał nagle śmierć i życie i stanął oślepiony wspaniałością nieziemskiego widoku. Zdawało mu się, że stąpa po najwyższych grzbietach gór niebotycznych i widzi z jednej strony życie, z drugiej śmierć, niby dwa promieniste, cudowne morza głębokie, zlewające się na dalekim horyzoncie w jedną niezmierzoną przestrzeń.

— Co to jest? Jakiż to boski widok! — rzekł powoli, podnosząc się i prostując jakby w obecności jakiejś wyższej istoty.

I po przez ściany, po przez czas i przestrzeń potężną siłą swego duchowego wzroku spojrzał w głębiny tego życia, które opuszczał.

I życie przedstawiło mu się inaczej. Nie starał się też, jak dawniej, ująć w wyrazy tego, co widział. A i biedny, ubogi język ludzki nie posiadał jeszcze słów odpowiednich. Ów drobny brudek, owo malutkie zło, które budziły w nim pogardę dla ludzi, a chwilami nawet wstręt do samego widoku ludzkiej twarzy, zniknęły zupełnie: jak dla wznoszącego się balonem niknie brud i błoto ciasnych uliczek opuszczonego miasteczka i w oddaleniu nawet brzydota zaczyna wydawać się piękną.

Bezwiednym ruchem Werner zbliżył się do stołu i oparł się oń prawą ręką. Dumny i despotyczny z natury, nigdy jeszcze nie przybrał tak dumnej i swobodnej pozy, nie odwracał tak głowy, nie patrzył tak, gdyż nigdy nie czuł się tak wolnym, takim bezwzględnym władcą, jak tutaj w więzieniu na kilka godzin przed kaźnią i śmiercią.

I ludzie stali się dla niego nowymi: jego rozjaśniony wzrok widział ich nanowo dobrymi i miłymi. Unosząc się ponad czasem, ujrzał jak młodą była ta ludzkość, która wczoraj jeszcze wyła w lasach jak dzikie zwierzęta; a to, co widział w nich złego, strasznego, brzydkiego nie do wybaczenia, stało mu się nagle miłem, jak miłą jest w dziecku jego umiejętność chodzenia, jego niezrozumiały szczebiot, w którym iskrzą się zaczątki przyszłego geniuszu, jego śmieszne omyłki i dotkliwe obrażenia.

— Drodzy wy moi! — uśmiechnął się niespodziewanie Werner i odrazu stracił całą powagę swej pozy. Stał się nanowo więźniem, któremu ciasno i źle w zamknięciu i tęskno i nudno i dokucza mu nieustannie badawcze oko, sterczące w płaszczyźnie drzwi. Dziwna rzecz, że nagle zapomniał zupełnie o tem, co przed chwilą widział tak jasno i wyraźnie, i co jeszcze dziwniejsze, nawet nie probował przypomnieć sobie. Ot, tak poprostu, usiadł wygodniej, bez zwykłej sztywności ciała i z nieznanym mu dotychczas, wcale nie wernerowskim, uśmiechem łagodnym i słodkim obejrzał ściany i kraty. I wtedy stała się jeszcze jedna rzecz, której nie doświadczał nigdy, — Werner zapłakał.

— Drodzy towarzysze moi, — szeptał, płacząc gorzko. — Drodzy towarzysze moi!

Jaką drogą tajemną przeszedł z poczucia dumnej, nieograniczonej swobody do tej namiętnej i czułej litości — sam nie wiedział i nie myślał o tem. I czy żałował tak bardzo drogich towarzyszów swoich, czy też te łzy gorzkie pokrywały coś bardziej wzniosłego i namiętnego — nie wiedziało również i jego serce, które się tak nagle ocknęło i zakwitło cudownym kwiatem uczuć. Płakał więc i szeptał:

— Towarzysze moi, drodzy towarzysze moi!

I w tym człowieku, płaczącym i uśmiechającym się przez łzy błyszczące, niktby nie poznał chłodnego i pysznego, zmęczonego, a śmiałego Wernera — nikt, ani sędziowie, ani towarzysze, ani on sam nawet.

---

11. Wiozą ich.

Zanim ich posadzono do karet, wszystkich podsądnych zebrano razem w wielkiej sali sklepionej, podobnej do kancelarji, w której nikt już nie pracuje, lub do pustej sali przyjęć i pozwolono im rozmawiać ze sobą.

Jedna tylko Tania Kowalczuk skorzystała odrazu z tego pozwolenia. Pozostali w milczeniu uścisnęli sobie ręce zimne jak lód i jak ogień gorące i w milczeniu tem, szukając wzajemnie swego wzroku, skupili się w onieśmieloną gromadkę. Teraz, kiedy znowu znaleźli się razem, każdy z nich mimowolnie wstydził się tego, co przeżył w samotności, i lękali się spojrzeć na siebie, aby nie zdradzić i nie dostrzedz tych myśli i uczuć niezwykłych, cokolwiek nieśmiałych, które mogły położyć piętno swoje na ich fizjognomjach.

Kiedy jednak nareszcie spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się do siebie, to dziwne skrępowanie zniknęło odrazu i poczuli się ze sobą tak samo prości i szczerzy jak dawniej; żadnej zmiany widać na nich nie było, a jeżeli i było coś, to tak jednakowo odbiło się na wszystkich, że pojedyńczo zauważyć tego nie mogli. Wszyscy mówili i poruszali się dziwnie, niby ja-

kiemiś oderwanemi nutami, to zbyt powolnie, to znowu zbyt szybko; niekiedy połykali wyrazy, jakby dławili się nimi, niekiedy nie domawiali zdań i nie czuli tego, myśląc, że wypowiedzieli je całe. Wszyscy mrużyli oczy i z ciekawością przyglądali się najzwyczajniejszym rzeczom, jakby ich nigdy nie widzieli, tak jak to czynią ludzie, którzy całe życie chodzili w okularach i nagle je zdjęli; co chwila nagłymi ruchami odwracali się po za siebie, jakby przez cały ten czas tam, za plecami ktoś ich wołał, ktoś przyzywał. A jednak i tego nie zauważyli. Musię i Tanię Kowalczuk paliły uszy i policzki, Sergjusz z początku był cokolwiek bladym, wkrótce jednak przyszedł do siebie i był takim jak zawsze. Wasyl tylko był dziwnie zmienionym. Z pomiędzy wszystkich on jeden był innym, a nawet strasznym. Werner drgnął wzruszeniem i rzekł do Musi z łagodnym niepokojem:

— Co to znaczy, Musiu? Czyżby on?... Co? Trzeba się nim zająć.

Wasyl spojrzał na Wernera wzrokiem jakby przychodzącym zdaleka i spuścił oczy.

— Wasiu, co się dzieje z twoimi włosami? Co tobie? To nic, bracie, wszystko się zaraz skończy. Musimy się trzymać, musimy.

Wasyl milczał. I kiedy myśleli, że nic już nie odpowie, przyszła nagle głucha, daleka i spóźniona odpowiedź, tak samo na wielokrotne wołania mógłby odpowiedzieć grób:

— Ja, nie. Ja się trzymam.

Po chwili powtórzył znowu:

— Ja się trzymam.

Werner ucieszył się niezmiernie.

— To dobrze. Dzielny chłop z ciebie. To dobrze.

Dostrzegłszy jednak jego ciemne jak noc spojrzenie, wychodzące jakby z jakiejś straszliwej głębi, wzdrygnął się mimowoli i z niewypowiedzianą troską pomyślał: skąd on patrzy? skąd jego głos dochodzi? Potem z serdeczną czułością tak, jak się mówi do grobu, rzekł:

— Wasiu, czy słyszysz? Ja cię bardzo kocham.

— I ja cię bardzo kocham, — odrzekł język, obracając się z trudnością.

W tej chwili Musia ujęła Wernera za rękę i ze zdumieniem, akcentując silnie niby aktorka na scenie, rzekła:

— Co za zmiana, Wernerze? Powiedziałeś — kocham? Tyś jeszcze nigdy do nikogo nie powiedział „kocham". I dlaczego jesteś takim... jasnym, takim miękkim? Co?

— Co?

I jak aktor na scenie, akcentując silnie to, co czuł, Werner wziął rękę Musi, uścisnął ją mocno rzekł:

— Ja teraz bardzo kocham. Nie mów o tem nikomu, wstydzę się, ale kocham bardzo.

Spotkały się ich oczy i buchnęły takiem światłem, że wszystko zgasło dokoła: tak samo, jak przy świetle błyskawicy gasną wszystkie inne ognie i nawet ciężki żółty płomień rzuca cień na rozjaśnioną ziemię.

— Tak, — rzekła Musia, — tak, Wernerze.

— Tak, — odrzekł, — tak, Musiu, tak!

Coś stanęło pomiędzy nimi, coś zostało postanowione, coś przyjęte. Z jaśniejącemi oczami Werner zachwiał się znowu i szybkim krokiem podszedł do Gołowina.

— Sergjuszu!

Odpowiedziała mu Tania Kowalczuk. Z zachwytem, płacząc nieledwie w poczuciu jakiejś macierzyńskiej dumy, targała Sergjusza za rękaw.

— Posłuchaj, Wernerze, posłuchaj! Ja tu martwię się o niego, płaczę, desperuję, a on się zajmuje gimnastyką!

— Podług systemu Müllera? — uśmiechnął się Werner.

Sergjusz zachmurzył się zawstydzony.

— Nie śmiej się, Wernerze. Przekonałem się ostatecznie...

Wszyscy roześmieli się łagodnie. Czerpiąc moc i siłę we wzajemnem obcowaniu, powoli stawali się takimi jak przedtem, lecz nie odczuwali tego i zdawało im się, że są ciągle jednakowi. Nagle Werner przestał się śmiać i z nadzwyczajną powagą rzekł do Gołowina:

— Masz rację, Sergjuszu. Masz zupełną rację.

— Zrozum to, — odrzekł ucieszony Gołowin. — Rozumie się, że...

W tej chwili zaproponowano im wyjazd. Okazano im nawet tę uprzejmość, że pozwolono jechać parami, tak jak sobie życzyć będą.

Wogóle wszyscy byli tak grzeczni, tak uprzejmi, jakby chcieli wykazać swój ludzki stosunek do podsądnych, lub dowieść, że ich tutaj niema, a wszystko odbywa się samo przez się. A jednak twarze były blade.

— Musiu, ty z nim, — szepnął Werner, wskazując głową Wasyla, stojącego nieruchomo.

— Rozumiem, — skinęła Musia. — A ty?

— Ja?... Tania pojedzie z Sergjuszem... Ja sam. To nic, ty wiesz, że ja mogę sam.

Kiedy wyszli na podwórze, otoczyła ich miękka i ciepła wilgoć i uderzyła w twarz i oczy, zatrzymała oddech i nagle łagodnie i oczyszczająco przeniknęła całe drżące ciała. Wprost nie chciało się wierzyć, że to coś tak cudowne, tak niezwykłe, to tylko wiosenny wiatr wilgotny i ciepły. Prawdziwa cudna noc wiosenna zapachniała topniejącym śniegiem, bezmiarem przestrzeni, zagrała muzyką spadających kropel. Z pośpiechem i zajęciem gonią jedna za drugą drobne kropelki i razem wydzwaniają jakąś pieśń radosną; nagle jedna z nich spadnie z tonu, i wszystko się plącze w wesołym plusku i szybkim chaotycznym wirze. I znowu jedna z nich wielka i silna uderza mocniej, a za nią wydzwania znowu radosna pieśń wiosenna. A nad miastem, nad ciemną fortecą unosiła się łuna ogni elektrycznych.

— Aach! — westchnął głęboko Sergjusz Gołowin i zatrzymał oddech, jakby mu żal było wypuścić z piersi to świeże, cudowne powietrze.

— Czy dawno już mamy taką pogodę? — zapytał Werner. — Zupełna wiosna.

— Dopiero dwa dni, — odpowiedziano uprzejmie. — Dotychczas przeważnie trzymały mrozy.

Karety podjeżdżały cicho i miękko jedna za drugą, zabierały po dwoje i odjeżdżały daleko w ciemność, gdzie chwiała się przy bramie latarnia.

Otaczali je konwojujący żołnierze, niby szare jakieś sylwetki, i dźwięczały podkowy końskie lub chlapały po mokrym śniegu. Kiedy Werner, zgiąwszy się, chciał wejść do karety, żandarm odezwał się nagle:

— Jeszcze jeden jedzie tutaj z panem.

Werner zdziwił się narazie.

— Jeszcze jeden? Dokąd? Dokąd on jedzie? Ach, tak. Któż to taki?

Żołnierz milczał. Rzeczywiście, w kącie karety tuliło się coś małego, nieruchomego, lecz żywego, w skąpem świetle latarni błysnęło oko otwarte. Siadając, Werner trącił nogą o jego kolano.

— Przepraszam, towarzyszu.

Nie było odpowiedzi. Dopiero, kiedy kareta ruszyła z miejsca, z kąta doleciało go pytanie, wypowiedziane łamanym rosyjskim językiem.

— Kto pan jesteś?

— Jestem Werner. Skazany jestem na powieszenie za zamach na N... A pan?

— Jestem Janson. Nie trzeba mnie wieszać.

Jechali razem po to, aby za dwie godziny stanąć twarzą przed wielką, nieodgadnioną tajemnicą, aby przejść z życia do śmierci... i poznawali się.

W dwóch równoległych płaszczyznach szły razem życie i śmierć, i życie pozostało życiem aż do najśmieszniejszych drobiazgów.

— A coście zrobili, Jansonie?

— Rżnąłem gospodarza nożem i kradłem pieniądze.

Z dźwięku głosu mogło się zdawać, że Janson zasypia. Werner w ciemności poszukał jego ręki i uścisnął ją. Janson cofnął ją powoli i obojętnie.

— Czy boisz się?

— Ja nie chcę.

Zamilkli. Werner znowu znalazł jego rękę i uścisnął ją w swoich gorących, suchych dłoniach. I.eżała w nich nieruchomo, niby mała deseczka, i Janson nie próbował nawet jej odebrać.

W karecie powietrze było duszne: pachniało suknem żołnierskiem, stęchlizną, nawozem i skórą mokrych butów. Młodziutki żandarm, siedzący naprzeciwko niego, oddychał głęboko i w oddechu jego czuć było zapach cebuli i taniego tytoniu. Lecz przez szpary wciskało się czyste, ciepłe powietrze, i w tem zamkniętem, ruchomem pudle czuło się wiosnę bardziej może, niż na powietrzu. Kareta tymczasem skręcała to naprawo, to nalewo, to wracała jakby; zdawało się, że całemi godzinami w jakimś celu kręciła się na miejscu. Z początku przez zapuszczone firanki przebijało się światło latarni elektrycznych, potem na zakręcie pociemniało wszystko i siedzący domyślali się, że skręcili w puste ulice na krańcach miasta i zbliżają się do dworca C.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Janson, który od tego nieustannego ruchu w ciemnem pudle doświadczał zawrotu głowy i mdłości.

Werner odpowiedział i silniej ścisnął rękę estończyka. Chciałby powiedzieć coś bardzo miłego i przyjacielskiego temu małemu sennemu człowiekowi, którego kochał w tej chwili tak, jak nikogo w życiu.

— Mój drogi, tobie niewygodnie tak siedzieć. Przysuń się bliżej do mnie.

Janson milczał przez chwilę i rzekł:

— Dziękuję, dobrze mi. Czy ciebie też powieszą?

— A też, — odrzekł z niespodziewaną wesołością, prawie ze śmiechem, Werner i niedbale machnął ręką, jakby rzecz szła o jakiś głupi figiel, który chcą mu wypłatać mili, lecz niemądrzy ludzie.

— Żonę masz? — zapytał Janson.

— Nie mam. Co mi po żonie, sam jestem.

— Ja też sam. Sama, — poprawił się Janson, pomyślawszy.

Werner poczuł również zawrót głowy. Zdawało się chwilami, że jadą na jakąś uroczystość. Dziwna rzecz, wszyscy jadący mieli to samo wrażenie i jednocześnie z obawą i przerażeniem radowali się temu, co za chwilę nastąpić miało. Rzeczywistość upajała się szaleństwem i śmierć, łącząc się z życiem, rodziła widma. Być może, iż na domach powiewały nawet chorągwie.

— Przyjechaliśmy, — rzekł Werner wesoło i ciekawie i lekko wyskoczył z karety. Z Jansonem sprawa przeciągnęła się nieco. Upierał się i nie chciał wyjść.

Schwycił za klamkę, lecz żandarm rozprostował mu bezsilne palce i odciągnął rękę; chwytał potem za róg, za drzwiczki, za koło wysokie i puszczał w tej chwili, kiedy go się żandarm dotykał. Właściwie nie był to nawet opór lecz jakby jakieś senne przylepianie się do każdego napotkanego przedmiotu, gdyż Janson odrywał się lekko, bez żadnych prawie wysiłków. Nareszcie stanął.

Chorągwi nie było, i dworzec ciemnym był, pustym i milczącym; pociągi pasażerskie nie odchodziły, a dla tego pociągu, który tam na drodze czekał na tych pasażerów, niepotrzebnym był ruch ni światło. I nagle Werner poczuł straszną nudę. Nie obawę, nie tęsknotę, a nudę ogromną, ciągnącą się, męczącą nudę, od której chciałoby się uciec, położyć gdzieś i mocno zacisnąć powieki. Przeciągnął się i ziewnął szeroko. Janson przeciągnął się również i szybko ziewnął kilka razy.

— Ach, żebyż to prędzej! — rzekł Werner z wyraźnem zmęczeniem. Janson kulił się i milczał.

Kiedy wprowadzono ich na pusty peron, otoczony wojskiem, i skierowano ku ciemnym, czekającym wagonom, Werner znalazł się obok Sergjusza Gołowina, który pokazał mu ręką w bok i zaczął coś mówić, z czego tamten zrozumiał jeden tylko wyraz „latarnia“, gdyż reszta zdania utonęła w przeciągłem ziewnięciu.

— Co ty mówisz? — zapytał Werner, ziewając również.

— Latarnia. Lampa kopci, — rzekł Sergjusz.

Werner obejrzał się, i, rzeczywiście, w latarni lampa kopciła i poczerniła już szkło.

— Prawda. Kopci.

I nagle przyszło mu na myśl, że co go może obchodzić lampa, skoro... To samo pomyślał, widocznie, Sergjusz, spojrzał przelotnie na Wernera i odwrócił się; lecz obaj przestali ziewać.

Do wagonów wszyscy podeszli sami, tylko Jansona musiano prowadzić pod ręce: z początku opierał się nogami, jakby podeszwy przyklejały mu się do desek peronowego chodnika, potem kolana mu się podgięły i zawisł na rękach żandarmów; nogi wlokły mu się jak u pijaka, i palce butów tarły się nieprzyjemnie o drzewo. I we drzwi przepychali go długo, lecz w milczeniu.

Wasyl Kaszyrin szedł również sam, naśladując ruchy towarzyszów, — robił to samo, co i oni; tylko, wchodząc do wagonu, pośliznął się cokolwiek, i żandarm wziął go za łokieć, aby podtrzymać. Wasyl drgnął i, szybko cofając rękę, krzyknął jakimś przeraźliwym głosem:

— Aj!

— Co ci jest, Wasiu? — rzucił się ku niemu Werner.

Wasyl milczał i trząsł się ciężko. Zawstydzony, a nawet zmartwiony żandarm usprawiedliwiał się nieśmiało:

— Chciałem podtrzymać tego pana, a...

— Chodź, Wasiu, ja cię podtrzymam, — rzekł Werner i chciał go wziąć pod rękę. Wasyl jednak jeszcze szybciej cofnął tę rękę i jeszcze przeraźliwiej krzyknął:

— Aj!

— Wasiu, to ja, Werner.

— Wiem. Nie dotykaj się mnie. Ja sam.

I trzęsąc się ciągle, wszedł do wagonu i usiadł w kącie. Werner pochylił się ku Musi i, wskazując oczami Wasyla, zapytał:

— Cóż ty na to?

— Źle, — równie cicho odrzekła Musia.

— On już umarł. Powiedz mi Wernerze, czy jest śmierć?

— Nie wiem, Musiu, lecz myślę, że niema, — odrzekł w poważnem zamyśleniu.

— Ja też tak myślałam. A on? Zmęczyłam się, jadąc z nim. Jechałam jakby z trupem.

— Nie wiem, Musiu. Może dla niektórych śmierć jest, taka, na chwilę, a potem jej nie będzie. Dla mnie także śmierć była, a teraz jej niema.

Pobladłe policzki Musi zarumieniły się nagle.

— Była, Wernerze? Była?

— Była, a teraz jej niema. Tak samo, jak dla ciebie.

Przed drzwiami wagonu rozległ się jakiś hałas, i, plując głośno, wszedł Miszka Cyganek. Rzucił oczami na wszystkie strony i zatrzymał się z uporem:

— Tutaj miejsca niema, żandarmie, — zawołał do zmęczonego i gniewnie patrzącego żandarma. —

Dawaj tak, żebym miał swobodę, a jak nie, to nie pojadę, wieszaj mnie na latarni. Karetę mi też dali, sobacze dzieci — czyż to kareta! Djabelskie trzęsidło, a nie kareta!

Nagle pochylił głowę, wyciągnął szyję i tak podszedł ku innym. Z ramy czarnych, potarganych włosów czarne jego oczy patrzyły dziko i nieprzytomnie.

— A, panowie! — zawołał przeciągle. — To, to tak. Jak się pan ma!

Wyciągnął do Wernera rękę i usiadł naprzeciwko niego. Potem, mrugnąwszy ku niemu jednem okiem, szybko przeciągnął palcami po karku.

— Też? co?

— Też, — uśmiechnął się Werner.

— Jakto, wszyscy?

— Wszyscy.

— Oho! — wyszczerzył zęby Cyganek i szybko powiódł po wszystkich oczami. Na sekundę zatrzymał je dłużej na Musi i Jansonie i znowu mrugnął na Wernera:

— Ministra?

— Tak. A ty?

— Ja, panie, za co innego. Gdzie mnie tam do ministra. Ja jestem rozbójnikiem, panie, oto kim jestem, rozbójnikiem! Nic nie szkodzi, musisz pan wytrzymać, nie z własnej woli należę do towarzystwa. Na tamtym świecie znajdzie się miejsce dla wszystkich.

Z pod nawiśniętych włosów oczy jego dzikie objęły wszystkich szybkiem, niedowierzającem spoj-

rzeniem. Wszyscy patrzyli na niego w milczeniu, z powagą i nawet ze współczuciem. Wyszczerzył znowu zęby i nerwowo poklepał Wernera po kolanie.

— Tak-to, panie, zupełnie jak w pieśni owej: nie szemraj ty, matko, dąbrowo zielona.

— Pocóż ty mnie nazywasz panem, kiedyśmy wszyscy...

— Prawda, — potwierdził z pewnem zadowoleniem Cyganek. — Co z ciebie za pan, kiedy razem ze mną wisieć będziesz! To jest prawdziwy pan, — dodał, wskazując na milczącego żandarma. — A tamten wasz, — wskazał oczami na Wasyla, — to nic nie lepszy od naszych. Panie, hej panie, czy pan się boi?

— Nic a nic, — odrzekł z trudnością język.

— Jakże tam, nic. Ty się nie wstydź, tutaj niema się czego wstydzić. To pies tylko macha ogonem i zęby szczerzy, kiedy go prowadzą na szubienicę, a tyś przecie człowiek. A tamten kłapouch, to kto? To nie z waszych przecie?

Przeskakiwał wzrokiem z jednego na drugiego i spluwał ciągle napływającą słodką ślinę. Janson, który, jak nieruchomy kłębuszek, przywarł do kąta, poruszył skrzydłami swej wyliniałej futrzanej czapki, lecz nie odrzekł ani słowa. Werner odpowiedział za niego:

— Zarżnął swego gospodarza.

— Mój Boże, — zdziwił się Cyganek, — że to taki też bierze się do rżnięcia!

Oddawna już spoglądał Cyganek zboku na Musię i teraz odwrócił się wprost ku niej i wlepił w nią swoje niespokojne oczy.

— Ach, panienko, panienko! I buzia taka rumiana i uśmiechnięta. Patrz, ona się naprawdę śmieje,— zawołał i chwycił Wernera za kolano swymi żelaznymi palcami. — Patrz, patrz!

Z rumieńcem na twarzy i lekkim zawstydzeniem w oczach Musia patrzyła również prosto w te dzikie, cokolwiek obłąkane i namiętnie pytające o coś źrenice.

Wszyscy milczeli.

A pociąg biegł. Drobniutko i pracowicie pukały koła, i maleńkie wagoniki podskakiwały i biegły uważnie po wąziutkich szynach. Oto na zakrętach lub u przejazdów cieniutko gwizdnęła lokomotywa, gdyż maszynista obawiał się przejechać kogoś na śmierć. I dzikiem było to, że do powieszenia ludzi tyle trzeba było zużyć ludzkiej systematycznej, drobiazgowej pracy i starania, że najszaleńszy czyn na ziemi spełnia się w taki spokojny i rozumny sposób. Wagony biegną, a w nich siedzą ludzie, tak jak zwykle siedzą i jadą, tak, jak zwykle, jeżdżą i pociąg zatrzyma się tak jak zwykle: „stacja, minut pięć!“

A potem przyjdzie śmierć, wieczność... tajemnica.

12. Już ich przywieźli.

Wagoniki biegły uważnie.

Przez lat kilka z rzędu Sergjusz Gołowin mieszkał z rodzicami przy tej drodze na letniem mieszkaniu i znał ją doskonale. Gdyby zamknął oczy, mógłby pomyśleć, że i teraz zasiedział się w mieście u znajomych i ostatnim pociągiem wraca do domu.

— Teraz już niedługo, — rzekł, otwierając oczy i spoglądając na ciemne, zakratowane, milczące okno.

Nikt nie poruszył się nawet, nikt nie odpowiedział, tylko Cyganek splunął swoją słodką ślinę i zaczął rzucać wzrokiem po wagonie, dotykając nim drzwi, okien i żołnierzy.

— Zimno, — rzekł Wasyl z trudem, jakby rzeczywiście zamarzłemi ustami, i wyglądało to tak, jakby powiedział: zi-u-no.

Tania Kowalczuk zakrzątnęła się natychmiast.

— Masz chusteczkę, obwiąż szyję. Będzie ci cieplej.

— Szyję? — zapytał Sergjusz i nagle przestraszył się tego pytania. Wszyscy jednak pomyśleli to samo, nikt więc go nie słyszał, jakby nikt nic nie powiedział, lub wszyscy razem wyrzekli ten sam wyraz.

— Nic nie szkodzi, Wasiu, zawiąż, będzie ci cieplej, — radził Werner i, zwróciwszy się do Jansona, dodał z czułością:

— A tobie, kochanie, nie zimno?

— Słuchaj, Wernerze, możeby on chciał palić. Czy nie chcecie palić, towarzyszu? — zapytała Musia. — My mamy.

— Chcę.

— Daj mu papierosa, Sergjuszu, — ucieszył się Werner. Lecz Sergjusz już mu podawał papierosa, i wszyscy ze wzruszeniem patrzyli, jak palce Jansona brały papieros, jak zapaliła się zapałka i jak usta estończyka poczęły puszczać niebieskawy dymek.

— Dziękuję, — rzekł Janson. — Teraz dobrze.

— Jakie to dziwne, — zauważył Sergjusz.

— Co dziwne? — odwrócił się Werner.

— A papieros.

Trzymał papieros, zwyczajny biały papieros w zwyczajnych, żywych palcach i blady, z przerażeniem wpatrywał się w niego. I wszyscy wpatrywali się w cienką, białą rurkę, z jednego końca której niebieskim, wąziutkim paskiem unosił się dymek, odbiegając bokiem od siły oddechu, i zbierał się ciemniejący popiół. Zgasł.

— Zgasł, — rzekła Tania.

— Tak, zgasł.

— A niech tam, do licha! — rzekł Werner i zachmurzony z niepokojem spojrzał na Jansona, którego ręka opadła z papierosem, jak martwa. Nagle Cyga-

nek odwrócił się szybko i, przechyliwszy się ku Wernerowi, wywracając białkami jak koń, szepnął:

— Panie, a gdyby tak konwojujących tego... co? spróbować?

— Nie trzeba, — również szeptem odrzekł Werner. — Wypij do końca.

— A dlaczego? W walce zawsze weselej? Ja jemu, on mnie i nie spostrzegą się nawet, jak już będzie po wszystkiem. Jakby człowiek nie umierał wcale.

— Nie, nie trzeba, — powtórzył Werner i odwrócił się do Jansona — Dlaczego, kochanie, nie palisz?

Nagle zmięta twarzyczka Jansona skurczyła się żałośnie, jakby ktoś pociągnął za nitkę poruszającą zmarszczki i wszystkie się naraz pokręciły. I jak przez sen Janson załkał bez łez, suchym, prawie sztucznym głosem:

— Ja nie chcę palić. Hu, hu, hu. Nie trzeba mnie wieszać. Hu, hu, hu.

Zakrzątnęli się koło niego. Tania Kowalczuk zalała się łzami i, gładząc go po rękawie, poprawiała mu uszy wyliniałej czapki.

— Kochanie moje, nie płacz, kochanie. Biedaku mój!

Musia patrzyła w bok. Cyganek dostrzegł jej spojrzenie i wyszczerzył zęby.

— Cudak z jaśnie pana. Herbatę pije, a brzuch zimny, — rzekł z krótkim, urywanym śmiechem, lecz

twarz mu poczerniała jak sagan, i wielkie żółte zęby szczękać poczęły.

Nagle wagoniki wyraźnie zwolniły biegu. Wszyscy, prócz Jansona i Kaszyrina, z miejsc się porwali i usiedli nagle.

— Stacja! — rzekł Sergjusz.

Zrobiło się tak duszno, tak trudno było oddychać, jakby nagle wszystko powietrze uciekło z wagonu. Rozszerzone serce rozpierało piersi, stawało wpoprzek gardła, rzucało się jak szalone i krzyczało wielkim, krwawym głosem. A oczy patrzyły na dół, na drgającą podłogę, a uszy słuchały, jak coraz wolniej obracały się koła, skrzypiały i obracały się znowu i... zatrzymały się.

Pociąg stanął.

Wtedy nastąpił sen. Nie, żeby było zbyt okropnie, lecz jakoś widmowo i obco; śniący zostawał na boku, a tylko widmo jego poruszało się bezcieleśnie, mówiło bezdźwięcznie, kroczyło bez szelestu i cierpiało bez cierpień. W tym śnie wyszli z wagonu, ustawili się w pary i wdychali niezwykle świeże leśne powietrze. W tym śnie bezwiednie opierał się Janson, i w milczeniu wyciągali go z wagonu.

Zeszli ze stopni.

— Czy pieszo? — zapytał ktoś prawie wesoło.

— To nie daleko, — odrzekł ktoś inny równie wesoło.

Potem wielką czarną, milczącą gromadą szli wśród lasu po mokrej, miękkiej ziemi, po nieubitej

leśnej drodze. Z lasu i śniegu parło świeże i mocne powietrze: nogi ślizgały się, niekiedy wpadały w śnieg i ręce mimowoli chwytały towarzysza; i, dysząc głośno, z trudem brnęli z boków konwojujący żołnierze.

— Drogi nie mogli oczyścić. Brnij tu po śniegu, — rzekł czyjś głos gniewny.

A ktoś usprawiedliwiał się nieśmiało:

— Czyścili, proszę jaśnie pana. Ale roztopy, nic nie pomoże.

Świadomość powracała powoli, nie zupełnie jednak, lecz jakby kawałkami, jakby dziwnymi urywkami. Niekiedy jaśniejsza myśl dowodziła:

— Rzeczywiście, nawet drogi nie oczyścili.— To znowu gasło wszystko, i pozostawał tylko węch — nieznośnie ostry zapach powietrza, lasu, topniejącego śniegu; to znowu niezwykle jasną stawała się droga i las, i noc, i to, że ich za chwilę powieszą. Urywkami dochodziła prowadzona szeptem rozmowa.

— Zaraz będzie czwarta.

— Mówiłem, że wyjeżdżamy zawcześnie.

— O piątej się rozwidnia.

— Tak o piątej. Trzeba było...

Zatrzymali się w ciemności, na polance. W pewnej odległości za rzadkiemi, bezlistnemi drzewami migały dwie latarnie: tam stały szubienice.

— Kalosz zgubiłem, — rzekł Sergjusz Gołowin.

— Co? — nie dosłyszał Werner.

— Kalosz zgubiłem. Zimno.

— A gdzie Wasyl?

— Nie wiem. Ot, stoi.

Ciemny i nieruchomy stał Wasyl Kaszyrin.

— Gdzie Musia?

— Jestem tutaj. Czy to ty, Wernerze?

Zaczęli się oglądać, unikając starannie tej strony, gdzie milcząco, lecz dziwnie wyraziście migały latarki. Na lewo las rzedniał, i przeglądało coś wielkiego, białego i płaskiego. I stamtąd ciągnął wiatr wilgotny.

— Morze, — rzekł Sergjusz Gołowin, wciągając nozdrzami i ustami powietrze. — Tam jest morze.

Na to Musia odrzekła dźwięcznie:

— Mej miłości, jak morze, szerokiej!

— Co ty, Musiu!

— Mej miłości, jak morze, szerokiej nie mogą objąć życia brzegi.

— Mej miłości, jak morze, szerokiej... — powtórzył w zadumie Sergjusz, ulegając mimowolnie dźwiękowi głosu i słów.

— Mej miłości, jak morze, szerokiej... — powtórzył Werner i nagle zdziwił się radośnie:

— Musiu! jakaś ty jeszcze młoda!

Tuż nad samem prawie uchem jego rozległ się gorący, zadyszany szept Cyganka:

— Panie, panie! Czy to las? Boże, co to jest? A tam, gdzie te latarnie, czy to szubienica. Co to?

Werner spojrzał ku niemu: Cyganek łamał się w przedśmiertnej męce.

— Pożegnajmy się... — rzekła Tania Kowalczuk.

— Poczekaj, jeszcze wyrok nam przeczytają — odrzekł Werner. — A gdzie Janson?

Janson leżał na śniegu i krzątano się koło niego. Rozszedł się silny zapach amoniaku.

— Co tam takiego, doktorze? Czy prędko? — zapytał głos jakiś.

— Zwyczajne zemdlenie. Natrzyjcie mu uszy śniegiem. Już przychodzi do siebie, można czytać.

Światło krytej latarki padło na papier i białe ręce bez rękawiczek. Papier i ręce drżały i drżał też głos mówiącego:

— Panowie, może nie czytać wyroku? Wszak go znacie? Co?

— Nie czytać, — odrzekł za wszystkich Werner, i latarka zgasła momentalnie.

I księdza nie chcieli również, więc ciemna szeroka sylwetka cofnęła się szybko i zniknęła.

Zaczęło widocznie świtać; śnieg zbielał, figury ludzkie pociemniały, las rzedniał i smutniał.

— Panowie, iść należy po dwoje. Stawajcie w pary, jak chcecie, tylko proszę się pośpieszyć.

Werner wskazał Jansona, który stał już pochylony, podtrzymywany przez dwóch żandarmów:

— Ja pójdę z nim. Ty, Sergjuszu, weź Wasyla. Idźcie naprzód.

— Dobrze.

— A my razem, Musiu, dobrze? — zapytała Tania Kowalczuk. — Pocałujmy się.

Szybko zamienili ostatnie, pożegnalne pocałunki. Cyganek całował mocno, aż czuć było zęby, Janson

miękko i obojętnie, nawpół otwartemi ustami, zresztą, prawdopodobnie, nie rozumiał nawet, co robi. Kiedy Sergjusz Gołowin i Wasyl Kaszyrin odeszli o kilka kroków, Wasyl stanął jeszcze i rzekł głośno i wyraźnie, lecz jakby obcym, nieznajomym głosem:

— Żegnajcie, towarzysze!

— Żegnaj, towarzyszu! — odkrzyknęli.

Poszli. Cisza. Latarki za drzewami znieruchomiały. Czekano okrzyku, głosu, szmeru, lecz i tam i tutaj panowała cisza i nieruchomo świeciły żółte latarnie.

— Ach, Boże! — ktoś szepnął dziko, ochryple. Obejrzeli się. To Miszka Cyganek konał prawie. W przedśmiertnej męce. — Wieszają!

Odwrócili się i znowu zapanowała cisza, tylko męczył się Cyganek, chwytając rękami powietrze:

— Jakto, panowie! Ja sam jestem! W towarzystwie przecież weselej. Panowie! Jakto!

Schwycił Wernera za ramię nerwowo kurczącymi się i rozciągającymi palcami i błagał spazmatycznie:

— Panie drogi, chodź pan ze mną! Zrób mi tę łaskę i nie odmawiaj!

Werner cierpiał, lecz odrzekł:

— Nie mogę, kochanie. Ja z nim idę.

— Ach, mój Boże! mój Boże! Więc sam, sam pójdę. Jakto, jak? — Boże mój!

Musia zrobiła krok naprzód i rzekła cicho:

— Chodź ze mną.

Cyganek cofnął się mimowolnie i dziko wywrócił oczy:

— Z tobą?

— Tak.

— Ach ty, maleństwo moje! A nie boisz się, bo może lepiej ja sam. Mniejsza z tem!

— Nie, nie boję się.

Cyganek wyszczerzył zęby.

— A przecież ja jestem rozbójnikiem. Nie gardzisz? Powiedz, ja się nie będę gniewać na ciebie.

Musia milczała, a w bladem świetle porannej zorzy twarz jej bladą była i zagadkową. Nagle podeszła do Cyganka i, zarzuciwszy mu ręce na szyję, pocałowała w same usta. On wziął ją leciutko za ramiona, odsunął, potrząsnął i..., cmokając głośno, ucałował w usta i oczy.

— Chodźmy!

Jeden z żołnierzy zachwiał się nagle i, rozkładając ręce, wypuścił broń. Lecz nie schylił się po nią, postał chwilę nieruchomo i, jak niewidomy, poszedł w las, brnąc po śniegu.

— Dokąd? — szepnął mu przerażony drugi żołnierz. — Stój!

Tamten jednak nie zatrzymał się wcale, brnął dalej po mokrym śniegu, aż widocznie potknął się o coś, bo upadł twarzą ku ziemi i tak pozostał.

— Podnieś broń, ty kwaśna szczecino! A nie, to ja ci podniosę! — zawołał groźnie Cyganek. — Służby nie znasz!

Latarnie poruszyły się znowu. Nadchodziła kolej Wernera i Jansona.

— Żegnaj, panie, — rzekł głośno Cyganek. — Poznamy się na tamtym świecie, a nie odwracaj się, jak mnie zobaczysz, i wody daj się napić — ciepło mi tam będzie.

— Żegnaj.

— Ja nie chcę, — rzekł Janson cicho, lecz Werner wziął go za rękę, i Estończyk przeszedł kilka kroków, potem zatrzymał się i w śnieg upadł. Pochylono się nad nim, podniesiono i wzięto na ręce, a on rzucał się słabo na tych niosących go rękach. Dlaczego nie krzyczał? Prawdopodobnie zapomniał, że głos posiada.

I znowu znieruchomiały żółte latarnie.

— A ja, Musiu, sama, — rzekła smutnie Tania Kowalczuk. — Żyłyśmy razem i oto...

— Taniu, najdroższa...

Lecz Cyganek gorąco ujął się za nią. Trzymając Musię za rękę, jakby obawiając się, aby mu jej nie odjęto, zaczął mówić szybko i z przekonaniem:

— Panienko droga, ty możesz pójść sama, tyś czysta dusza, ty możesz, dokąd chcesz, iść sama. Wszak rozumiesz? A ja, nie. Jako rozbójnika... rozumiesz?... Ja nie mogę sam. A ty tu poco, powiedzą mi, ty rozbójniku? Ja przecież kradłem nawet konie, jak Boga kocham! A z nią to... to jak z niewinnem dziecięciem na ręku, zrozumiałaś? Nie?

— Zrozumiałam. Cóż robić, idźcie. Pocałuj mnie jeszcze raz, Muśko moja.

— Pocałujcie się, pocałujcie, — powtarzał zachęcająco Cyganek. Wasza to babska sprawa pożegnać się należycie.

Teraz poszli Musia i Cyganek. Kobieta szła ostrożnie, poślizgując się i z przyzwyczajenia podnosząc spódnicę; i silnem ujęciem pod ramię, macając najprzód nogą, prowadził ją ku śmierci mężczyzna.

Ognie zatrzymały się znowu, i pusto było koło Tani Kowalczuk. Żołnierze milczeli również, szarzejący w cichem i bladem świetle zaczynającego się dnia.

— Sama jestem, — rzekła po chwili Tania i westchnęła.—Umarł Sergjusz, umarł Werner i Wasia. Sama jestem. Ach, żołnierze, żołnierze, sama jestem: Sama...

Nad morzem wschodziło słońce.

Złożono trupy do pak i powieziono je. Z wyciągniętemi szyjami, z wytrzeszczonemi, szalonemi oczyma, ze spuchniętym, sinym językiem, który, niby nieznany, a straszny kwiat wysuwał się z za krwawych, spienionych warg, płynęły owe trupy po tej samej drodze, po której przyszli tutaj sami i żywi.

A śnieg był tak samo miękkim i pachnącym, i wiatr wiosenny tak samo świeży i mocny. I na śniegu tym czerniał zgubiony przez Sergjusza kalosz.

W ten sposób witali ludzie wschodzące słońce.

SPIS ROZDZIAŁÓW.